ROK 58 WE LWOWIE, 1 LUTEGO 1936 R. Nr. 2

ŁOWIEC ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Generał WALERY MARYAŃSKI

## Spokojnie — objektywnie a przedewszystkiem... fachowo!

**Odpowiedź na artykuł JWPana Adama Gołębskiego w „Łowcu" Nr. 1 z 1 I. 1936, p. t. „Kilka dalszych uwag na temat polskich ładunków śrutowych".**

W powyższym artykule, w którym P. A. G. kruszy kopje w obronie niemieckiego prochu Rottweil i żąda zniżenia ceł dla importu prochów zagranicznych — idzie tak daleko, że zarzuca mi publikowanie fałszywych dat i wprowadzanie w błąd czytelników; nie zmienia nic na powadze tego zarzutu uwaga, jakoby podano mi tendencyjnie fałszywe daty, bo każdy autor jest odpowiedzialny za treść swych publikacyj.

Muszę więc dać Panu A. G. gruntowną i wyczerpującą odpowiedź, bo — pomijając względy osobiste — artykuł Jego, upozowany w szaty fachowości — mógłby w dużym stopniu przyczynić się do wprowadzania w błąd Sz. Czytelników, nie będących fachowcami w dziedzinie balistyki.

Z góry przepraszam Sz. Red. naszego kochanego „Łowca", że przy tej sposobności zajmę może trochę więcej miejsca, niż zwykle, w jego łamach — ale tego rodzaju artykuł jak Pana A. G. nie może pozostać bez spokojnej, objektywnej i fachowej odpowiedzi, trzymanej oczywiście w wersalskim tonie, do jakiego jesteśmy zresztą na szpaltach „Łowca" przyzwyczajeni.

Przechodzę na właściwy temat.

Sz. Autor P. A. G. twierdzi, że nie widzi możności na podstawie mojego artykułu w „Łowcu"Nr. 12 1935, zapoznania czytelników z datami balistycznemi różnych prochów krajowych i zagranicznych — a znajdując podawane przezemnie jedynie chyżości śrutu w 15 metrze ($V_{15}$) za niedostateczne i niewystarczające — cytuje bardzo szczegółowo daty, odnośnie niemieckiego Rottweilera, udzielone mu przez Rheinisch Westphäl. Sprengstoff A. G. w Berlinie[1]).

Tabela ta — prawie 1/3 stronicy „Łowca" zajmująca — podaje dla wszystkich numerów śrutu i na wszystkie odległości od 0—50 m, dotyczące chyżości. Bardzo to pouczająca tabela dla kogoś, kto specjalnie studjuje właściwości prochu „Rotweil" — ale dla ogółu myśliwych, nieużywających już od lat tego prochu — może trochę nudna.

Moją tendencją zaś w artykule w „Łowcu" Nr. 12/35 było, przez podanie jednej daty balistycznej (w tym wypadku ($V_{15}$) w odniesieniu do jedenastu! gatunków prochów krajowych i zagranicznych dać możność porównania ich między sobą w ich własnościach balistycznych.

Ta jedna data wystarczy chyba najzupełniej nawet laikowi do wyrobienia sobie trafnego sądu o jakimś prochu. Wyjaśnię to na przykładzie. Gdy np. wiadomem jest, że przy „Sokole" wynosi $V_{51}$=297,7 m/sec a przy Müllericie wśród identycznych warunków tylko 280,6 m/sec — to widzi każdy, że „Sokół" jest wobec tego bardziej wartościowym prochem, niż Müllerite. Mógłbym z łatwością podać Sz. Czytelnikom jedenaście tabel, analogicznie zestawionych, jak tabela P. A. G. ale nie widzę potrzeby, bo przecież spadek chyżości śrutów bez względu na gatunek prochu — następuje przy przebijaniu się przez warstwę powietrza wedle jednego, niezmiennego prawa fizykalnego[2]).

Pominąłem zaś rozmyślnie te arcydługie tabele także z powodów następujących:

Przedewszystkiem znam charakteryzującą naszych myśliwych głęboką awersję do wszystkich cyfr, tabel, wykresów i t. p. przejawów gruntowności i wiem z góry, że — o ile artykuł we formie popolowaniowej lub pokolacyjnej pogadanki jest mile czytany — to cytowanie choćby kilku cyfr lub skromnej tabelki, jest niezawodnym środkiem, aby 95% czytelników odstraszyć od jego lektury; to była jedna przyczyna, dla której umyślnie unikałem wszelkich tabel i cyfrowych zestawień, podając jedynie jako daty porównawcze(!) chyżość śrutów w 15 metrze.

Drugim powodem, dla którego unikałem podawania tych horendalnych tabel — jest brak miejsca na nie w naszych czasopismach. Przecież my w Polsce nie mamy dotąd czasopism czysto balistycznych, jak np. w Niemczech Schrot und Kugel", „Schuss und Waffe", a w Ameryce „The Americain Riffleman" i inne — i dlatego muszą nasi balistycy tułać się ze swemi publikacjami w czasopismach myśliwskich; istnieje wprawdzie „Przegląd Strzelecki i Łuczniczy", ale podaje on przeważnie rezultaty zawodów i pędzi na ogół dosyć suchotniczy żywot, wydając ledwie kilka chudych numerów rocznie.

Żadna więc redakcja jakiegoś polskiego czasopisma łowieckiego, która jest zwykle zawalona doskonałemi arty-

[1]) Stojąc z tą firmą w bardzo uprzejmej korespondencji od szeregu lat i mając już kilkakrotnie sposobność korzystania z jej fachowych informacyj — muszę zgóry najwyraźniej zaznaczyć, że ani na chwilę nie śmiem powątpiewać o ich autentyczności. Przeciwnie! Zasługują one w zupełności na 100% zaufanie.

[2]) Sz. A. nie podał w swym artykule w „Łowcu" Nr. 1/36 — tego prawa — a byłoby to bardzo pożądane. Pozwolę sobie uzupełnić go. Brzmi ono: „Opór powietrza rośnie, jak kwadrat(!) chyżości". W niem należy szukać źródła nieproporcjonalnego spadku oporu powietrza, gdy chyżość pocisku choćby w małym stopniu zmaleje.

kułami z dziedziny łowiectwa, nie zechce drukować długich i nudnych tabel balistycznych.

W dalszym ciągu swojej publikacji podaje P. A. G. w wątpliwość autentyczność dat przezemnie w „Łowcu“ Nr. 12/35 podanych. Otóż pozwolę sobie zaznaczyć, że podawałem daty prób, przy których byłem obecny! Mianowicie niech P. A. G. łaskawie przyjmie do wiadomości, że te próby porównawcze odbyły się w Stacji Badań Balistycznych P. W. P. w Pionkach, a w zainicjowaniu ich wziąłem czynny udział. Odnośne daty, cytowane przezemnie, są wyjęte z urzędowych protokołów i mogą być każdej chwili skontrolowane. Opublikowałem nawet szczegółowo ich rezultaty w „Łowcu Polskim“ Nr. 8, 9, 10/33; że ich nikt z naszych myśliwych nie czytał — to nie moja wina.

Gdyby P. A. G. wiedział, jak doskonałej opinji zagranicą zażywa P. W. P. w Pionkach, skąd wywozi tonami swoje produkty do sąsiednich państw — to nigdy nie byłby się poważył wygarnąć z działa tak ciężkiego wagomiaru, jak zarzut tendencyjnego publikowania fałszywych dat.

Zarzut powyższy, zrobiony przez P. A. G. — wskazuje także na to, że Sz. Autor nigdy w życiu, ani żadnej modnie urządzonej stacji balistycznej nie widział, ani w pomiarach nie brał osobiście udziału; przecież organizacja każdej stacji balistycznej jest tego rodzaju, że nigdy ci urzędnicy, którzy przeprowadzają pomiary, nie wiedzą podczas prób kto, czem i z czego strzela; rezultaty zaś pomiarów są zaraz zaciągane do protokołów, a te nie ulegają żadnym poprawkom. Oprócz tego sztabki, na których aparat wybija znak i na podstawie których oblicza się chyżość — dalej cylindry miedziane do mierzenia napięcia gazów, podlegają przechowywaniu. Tedy o jakichś „korekturach“ nie może być mowy.

Ciekawe wrażenie odnosi fachowiec — balistyk, czytając uważnie dalsze enuncjacje P. A. G. I tak Sz. Autor podając daty balistyczne Rottweila — przeocza zupełnie fakt, że daty podane przez Niego (294,0 m/sec) i przezemnie (287,0 m/sec) są w praktyce sobie równe! Wszak tych 7 m/sec różnicy nie będzie fachowiec brał poważnie! Ona nie jest bowiem w stanie spowodować przebicie nawet jednej 1 mm tekturki na 35 m przy 2,5 mm śrutu i należy je uważać za „quantité negligeable“. Dziwi mnie natomiast, że Sz. Autor zupełnie pomija wpływ stanu barometrycznego, bo przecież nie jest wszystko jedno, czy śrut pruje gęste, czy rzadkie powietrze.

Zarzuca mi P. A. G., że nie podałem średnicy śrutu, cytując daty chyżości w moim artykule w „Łowcu“ Nr. 12/35. Hm! Prawda! Myślałem jednak, że wobec tego, że w całym świecie do prób strzałów śrutowych używa się tylko albo śrutu o średnicy 3,5 mm albo średn. 2,5 mm, więc fachowiec-balistyk, czytając, że Rottweil ma $V_{15} = 287$ m/sec, w tej chwili zorjentuje się, że chodzi tu o 2,5 mm śrut — bo gdyby przy śrucie 3,5 mm $V_{15}$ wynosiło tylko 287 m/sec — to proch ten byłby na całej linji zdystansowany.

Sz. Autor doradza celem oceny siły przebijania naboju śrutowego używać formułki: $E = \frac{m \cdot v^2}{2}$. Mam wrażenie, że zachodzi pomyłka — bo formułki tej używa się do obliczenia siły żywej E przy strzałach kulowych (!). Przy ocenie siły żywej strzałów śrutowych nikt nigdy się tą formułką nie posługuje; istnieje do tego celu aparat, zdaje mi się firmy Sauer u. Sohn, który polega na tem, że w żądanej odległości stawia się ruchomą płytę i strzela do niej; ona łapie wszystkie wystrzelone śruty i pokazuje automatycznie siłę żywą „E“ w kgm. Czy Sz. Autor miał sposobność widzieć ten aparat? Przy całym szacunku dla Jego zainteresowania w kierunku balistyki myśliwskiej — śmiem o tem wątpić.

Kończy Sz. Autor swój Artykuł apelem w kierunku fabrykacji solidnych łusek i żąda stworzenia zdrowej konkurencji dla naszych fabryk prochu przez zniżenie ceł dla zagranicznej amunicji i wpuszczenia jej do kraju.

Świadczy to, że Sz. Autor najzupełniej nie orjentuje się, co się w Polsce w kierunku fabrykacji amunicji śrutowej dzieje.

Nie chcę tu wyliczać fabryk prochu, fabryk łusek i spłonek, konkurujących bardzo ostro ze sobą (łuski „Pocisk“ contra „W. Sp. Myśl.“, proch: P. W. P. contra Boryszew, spłonki: „Lignoza“ contra „Pocisk“ wzgl. W. Z. P. itd. Pozwolę sobie twierdzić, że gdyby Sz. Autor pofatygował się był 13 X. ub. r. do Radomia na zawody w strzelaniu do rzutków i obserwował te tysiące strzałów, (wyłącznie produkt W. Sp. M., nabity prochem „Sokół“) jeden równy, jak drugi, bez żadnego zacięcia się, niewypału, zaciągu i t. p. — wśród wystrzelonych łusek ani jednej pękniętej — gdyby widział te rzutki na 60—70 kroków rozlatujące się w proch pod działaniem 2,5 mm śrutu (Nr. 6) — byłby nawet przy małej dozie objektywności zmienił swoje zdanie o jakości obecnej krajowej amunicji a przedewszystkiem oszczędził sobie tych niesłusznych i bardzo przemysł polski amunicyjny krzywdzących uwag, jak np. „produkt niewyrównany“, „przedwczesne entuzjazmowanie „Łosiami“, „Sokołami“, „Szarakami“, „w powijakach będący przemysł fachowy“ i t. p.

Kończy P. A. G. swój niefortunny artykuł apodyktyczną, pełną nieomylności uwagą, że „albo zające nasze oblekły się w stalowe pancerze — albo ładunki są pod psem — tertium non datur“!

Owszem Szanowny Autorze! — Tertium datur! A mianowicie, że u nas myśliwi używają strzelb, przewyższających doskonałością krycia ich sprawność strzelecką, używają strzelb dających bardzo gęsty ale wąski (!) snop — z których — jak ogólnie wiadomo trudno jest trafić. Obserwuję od dłuższego czasu naszych Braci - Myśliwych i w najbliższym artykule postaram się wskazać, gdzie leży źródło tego kaleczenia zwierzyny — a kaleczą ją w tym samym stopniu ci, którzy używają „niezawodnego“ Rottweila.

Żadną miarą nie leży przyczyna kaleczenia zwierzyny w naszej — obecnie istotnie doskonałej amunicji.

Św. Hubertowi cześć!



JÓZEF JANICKI

# Jeszcze w sprawie ładunków śrutowych

W listopadowym numerze (13) „Łowca“ z r. 1935, w artykule hr. Mycielskiego, pod tytułem: „Jeszcze o polskich ładunkach śrutowych“ — zastanowiła mnie uwaga tegoż autora o badaniu polskich ładunków przez jednego ze światowych rusznikarzy w Londynie i o orzeczeniu tegoż, że „proch jest zupełnie pierwszorzędny, ale w stosunku do niego, jest za wielki ładunek śrutu“.

Otóż w nalepkach na puszkach z prochem „Sokół“ P. W. P. Pionki — Zagożdżon, uwidoczniono w bieżącym sezonie wymiar prochu do strzelby kal. 16 na sezon zimowy 1,85 gr, podczas gdy wymiar śrutu pozostał ten sam, t. j. 28 gr.

Stwierdzam przeto, że naboje robione przezemnie odpowiednio do powyższych wskazówek, nie pozostawiają nic a nic do życzenia. Siła przeboju do zająca na odległość 30—60 kroków jest tak wielka, że zwierz pada na miejscu, naturalnie, jeżeli strzał jest celny, t. j. w głowę lub na komorę.

Jestto dowód, że P. W. P. przyszła do przekonania o konieczności podniesienia wymiaru prochu z 1,8 gr, na 1,85 gr.

Pozwolę sobie jeszcze na uwagę o drożyźnie prochu naszego najlepszego „Sokół“.

Puszki blaszane zawierające 100 gr tegoż prochu są — nie przeczę — estetyczne. Ale cena takiej blaszanki z zawartością powyższą jest niepomiernie wysoka!

Dawniej sprzedawano proch w pudełkach tekturowych o formie walca, a zawartość tego pudełka — oprócz opakowania w papier, nieprzepuszczający wilgoci, ważyła netto 125 gr.

Takie opakowanie było najzupełniej wystarczające.

Wszak blaszanek tych nikt do niczego nie używa i albo się je wyrzuca, lub też bawią się niemi dzieci. Natomiast podraża taka blaszanka cenę prochu i tak stosunkowo drogiego, a wypełnia ją tylko zaledwie w ¾ częściach.

Czy przeto nie możnaby zwracać próżnych blaszanek za odpowiednią cenę P. W. P. jak flaszek ze spirytusu Monopolowi Sp., przyczem wskazanemby było, by zawartość puszki ważyła 125 gr, a nie 100 gr.

Najodpowiedniejszem jednak opakowaniem, byłoby tekturowe pudełko, zawierające 125 lub 250 gr prochu; odpadłby koszt drogich blaszanek, a co zatem idzie, musiałaby wytwórnia zniżyć cenę prochu, bo na jeden kg prochu potrzebaby było 8 względnie 4 pudełek, a nie 10 blaszanek.

Ku rozwadze fabrykantom, a zadowoleniu myśliwych, podaję przytoczone uwagi.

Ponieważ sprawa jakości polskiej amunicji śrutowej została, zdaniem naszem, już ostatecznie omówiona i wyświetlona, zastanawiamy dalszą dyskusję na temat powyższy w naszem Piśmie. *Red.*



JAN MARCINKÓW

# Echa z rykowisk w rewirach dóbr Skolskich w 1935 r.

W „Łowcu“ Nr. 13-tym z 1 listopada 1935 roku, w artykule „Z Karpat“ — jest krótka wzmianka na podstawie otrzymanych sprawozdań, że w Skolem padło na rykowiskach 3 jelenie, a to: 1 14-ak, 1 8-ak i 1 10-ak. — Jak na taki obszar leśny jak Skolszczyzna, obejmujący 36.000 ha lasu i do tego dzierżawionych terenów łowieckich gminnych, objętości 25.000 ha, czyli razem 61.000 ha, a zwierzostan jeleni wynosi około 2.500 sztuk, to rezultat byłby dość smutny, tem bardziej, że w rewirach skolskich własności Baronów Groedlów, od niepamiętnych czasów prowadzi się bardzo racjonalną gospodarkę łowną, może jak mało gdzie, a zwierzyna łowna doznaje ze strony właścicieli dóbr należytej opieki, liczna zaś straż łowiecka i leśna czuwa energicznie nad ochroną przed kłusownikami, których nie brak na tak ogromnym obszarze poprzeplatanym wsiami, a trudnym do opilnowania, zwłaszcza na wyżynach Karpat.

Rykowisko naogół nie było takie, jak zresztą wszędzie w Karpatach — jakiegoby można było się spodziewać, równie i jakość wieńców pozostawiała wiele do życzenia.

Powodem tego były, jak zawsze, rozmaite wpływy atmosferyczne, które w wielkim stopniu oddziaływują tak na rozwój wieńców, jakoteż na rykowisko same.

Początek zimy 1935 był dość łagodny i małośnieżny. Śródzimie i koniec zimy nie obfitowały w wielkie opady śnieżne, ani też w silne mrozy, co na przezimowanie jeleni wpłynęło korzystnie, bo przy małych śniegach jeleń z łatwością wyszuka żerowisko.

Wiosna łagodna, maj ciepły, w szczególności od 7 maja do 27 czerwca 1935, temperatura dochodziła od 20 do 30° C i nastała posucha, która uszczupliła paszę, właśnie w czasie głównego rozwoju rogów.

Po 27 czerwca nastała słota, rzadko przeplatana pogodą, że zwierz mało kiedy wysychał od dżdżu. Tak trwało prawie do końca sierpnia. — Od 4—10 września znów było słotno i chłodno a od 11 września, kiedy starsze jelenie zaczynały porykiwać, znowu nastało gorąco do 17-tego, a w dodatku przyszła pełnia, więc w jasne noce załatwiał jeleń swe sprawy miłosne, a w dzień w cieniu drzew odpoczywał i milczał.

Te właśnie okoliczności spowodowały, że przy takiej atmosferze a w dodatku pełni, trudno było spotkać się z dobrym, kapitalnym, starym jeleniem, który z końcem pierwszej, a początkiem drugiej dekady września, odbywa swe gody weselne i nie bardzo natęża się ryczeniem.

W drugiej połowie drugiej dekady września i w pierwszej połowie pierwszej dekady października, młode i średnie jelenie uganiały z rykiem za łaniami, gdy stare rzadko kiedy się odzywały.

Wielkim wrogiem rykowisk są burze i zawieruchy, które przez huk i łomot drzew płoszą jelenia i głuszą jego hymn miłosny. — Również i obecność wilków w rewirze, zmusza jelenia do milczenia, gdyż instynkt zachowawczy nakazuje mu nie zdradzać miejsca pobytu.

Pewnego razu polując z Arcyksięciem Leopoldem Salwatorem w rewirach Mizuńskich, w oddziele „Proszniak" gdyśmy podchodzili kapitalnego 18-aka, który miał prócz rywala 23 łanie w swym haremie, wpadł między to towarzystwo wilk. Wszystko pierzchło i więcej nie pokazało się, cośmy stwierdzili, będąc jeszcze przez osiem dni na miejscu.

Liczna straż leśna skolska, która od wielu lat doskonale wyszkolona, już od pierwszych dni I. dekady września pilnuje i obserwuje stan rykowisk w tych obszernych rewirach, każdy strażnik w swoim rejonie, tak, że każdego dnia rano i wieczorem, raportują telefonicznie do Dyrekcji, gdzie, kiedy i ile jeleni ryczało.

Jak wyżej wspomniałem, ogólny stan jeleni wynosi w przybliżeniu około 2.500 sztuk, z tego około 350—400 byków a reszta to łanie, cielęta i wogóle młodzież. Stosunku normalnego co do płci, nie osiągnięto jeszcze, bo racjonalnego odstrzału starych łań, niepłodnych i byków lichych, w wysokich górach nie łatwo jest uskutecznić. Tu trzeba zachować na każdy sposób pewną ostrożność, ażeby nie osiągnąć negatywnego rezultatu.

Pierwsze porykiwania starych jeleni słyszano już w roku zeszłym 5 września, a 10-tego, ryczało już 30 jeleni. — Główne rykowisko trwało dopiero od 24 do 29 września, w tym czasie słyszano 300 jeleni, poczem nastąpiła przerwa wskutek burz i wiatrów, aż dopiero od 5 października zaczęły jelenie znowu ryczeć i ryczały do 10 października, w którym to okresie ryczało jeszcze 150 jeleni, poczem umilkły.

Myśliwych było 18 i padło 14 jeleni. Ale jak już na wstępie wzmiankowałem, wskutek posuchy w maju i upałów w czerwcu, a następnie długiej słoty, jelenie nie osadziły dobrych wieńców. Zresztą po wojnie światowej i ukraińskiej rebelji, jak również i po kilku srogich zimach, zwierzostan w Skolem jest jeszcze ciągle w stadjum regeneracji i trzeba przyznać, że dzięki pieczołowitości właścicieli, stan jeleni stale rok w rok się polepsza.

Z ubitych w rewirach Skolskich 14 jeleni, padło: 1 — 16-ak, 1 — 14-ak, 7 — 12-ków, 4 — 10-aki i 1 — 8-ak, zaś w dobrach Wetlina, należących też do Bar. Groedlów w pow. Leskim 3 — 14-aki i 1 — 8-ak; 14-aki były o wadze 8,5 kg a jeden 7,5 kg.

Najlepszym był 12-ak, ubity przez p. Cieńskiego, (waga 10,5 kg, długość 111 cm, rozpięcie 77 cm, oczne gałęzie 44 cm, obwód róż 23 cm, grubość u dołu 18 cm).

Również 16-ak ubity przez br. Königswartera należał do kapitalnych, jednak rozmiarów nie zapodano, ani też zdjęć fotograficznych nie otrzymałem.

W sprawozdaniu z rykowiska 1935 r. w lasach państwowych na str. 158 „Łowca" z listopada, jest wzmianka, że na 600 jeleni ryczących, na terenach łowieckich Dyrekcji L. P. we Lwowie, padło w 1935 r. 67 sztuk jeleni.

Pozwalam sobie zapytać, czy nie zaszła przypadkowo omyłka w druku, co do ilości ryczących jeleni, bo jeśli w rewirach skolskich ryczało 300 jeleni, to w lasach państwowych, które przewyższają kilkakrotnie obszar lasów Skolskich, musiało znacznie więcej jeleni ryczeć.



JULJUSZ WIRSKI

# W LEŚNICZÓWCE

**(Urywek z niedrukowanej powieści „Dezerter").**

*3 marca 19...*

Leśniczówka leży pomiędzy starą dąbrową i niewiele młodszym borem: od zachodu bagna, od wschodu mokradła, na północ i południe — lasy.

Zima leży jeszcze w kotlinach blada, białością niestopionego śniegu i szronem porannym uśmiecha się na nigdy niezamarzających oparzeliskach. Dęby stoją nagie, a suche liście ostro chrzęszczą pod wilgotnym śniegiem. — Tyle słów, o miejscu tymczasowego pobytu.

Osyp szykuje się do wiosennych łowów i połowów. Majstruje wabiki na kaczki, cietrzewie, słonki. Wiąże sieci, naprawia wędki, więcierze, kosze na węgorze, które łapie w pobliskiej rzece.

Jego żona snuje się koło domu, sadza kury, które gdaczą jak opętane, gotuje zrana na cały dzień i szepcze pacierze. Czasami staje przedemną, patrzy wyblakłemi oczami i mówi:

— Zupełnie, jak mój Oleś... Hospodi pomiłuj!..

Oleś zginął w 1914 roku, koło Jezior Mazurskich...

Z Osypem mówimy mało. Jedna rozmowa utkwiła mi w pamięci:

— Żywioła jest różna, — mówił stary — taka, co człowieku na pożytek i taka, co na szkodę. Z a j ą c na pożytek i na szkodę... Spróbuj nie strzelać dwie trzy zimy, — c h l e b w polu wydepce. A spróbuj wybić wszystkich, — znowu niedobrze: lis zdechnie, człowiek miasa nie spróbuje... Bez lisa znowu szuby niema! Ot, co!...

Odpowiedziałem, że widocznie ten świat jest za ciasny dla ludzi i zwierząt.

— Breszesz pan, — zaoponował twardo, — gladi, miejsca wsiudy, choć kamieniem broś! Brasaj, brasaj, nie dabrosisz... Spokojnieby sobie żył człowiek, Chrystusa za gospodarza miał, a tak co? Jeden grzech na całej ziemi; słowem nie poradzisz i kułakiem nie zdołasz. Grzech mocniejszy. Szatana człowiek dopuścił do siebie, ot co!

— A przecież wy, Osyp, mówicie, że Chrystus chodzi po ziemi?

— A chodzi, depcze świętemi nóżkami pola, da lasy i płacze. A z tego płakania Jezusowego są rzeki, jeziora, wody wszelakie. A znów z uśmiechu — pogoda. A śmieje się Pan Jezus, kiedy człowiek przez dzień nie zgrzeszy...

— Są widocznie i tacy, bo pogoda bywa.

— A są, — odpowiedział z przekonaniem.

*4 marca 19...*

Tak sobie gwarzymy z Osypem, a lasy gwarzą z nami, jak tłum, który przyjaźnie zwierza nam swoje sprawy. —

LEOPOLD PAC-POMARNACKI

# Ostatni łów

Nad wysokopiennym borem sosnowym, tonącym w granatowych głębiach mroku, dzień wstawał jasny, zimowy. Rozwichrzone, kędzierzawe czuby drzew, przyprószone starczą siwizną szronu, zaczynały leciuchno drgać, poruszane ledwie uchwytnym podmuchem porannego wietrzyka. Trącały się gałązkami, muskały kiściami ośnieżonego igliwia, szeleszcząc cichutko i łącząc swój szmer z tysiącem innych w jeden zgodny, sharmonizowany chorał boru.

Wschodnia połać nieba, przyćmionego siną zasłoną, rozdartą miljonami ostrych błysków gwiazd, zaczynała blednąć, jaśnieć, powlekać się nieśmiałą różowością, z odcieniem płonącego złota, które kładło się wąskiemi pasmami na wyraziście rysujących się szmaragdowych wierzchołkach sosen, rozedrganych w powiewach wiatru. Ale pod rytmicznie kołyszącemi się koronami panowała jeszcze ponura i groźna noc, dusząca kłębowiskiem granatowych cieni każdy śmielszy przeblask jutrzenki, bezskutecznie próbujący dotrzeć do wnętrza kolumnady starodrzewia, pogrążonej w martwocie i ciszy. Jasny pokrowiec śnieżny, wyściełający leśne podłoże, majaczył w mroku szafirową plamą, przebijając się przez gęste welony ciemności, rozprzestrzeniającej żądne posiadania macki, wśród omszonych pni, nagich krzewów i konarów.

Lecz jasność rodzącego się dnia jęła zwyciężać. Wyniosłe czuby sosen wyzłacały się coraz bardziej, otaczając się rąbkiem płonącej aureoli. Długie strzały światła wdzierały się już pomiędzy rozrzucone pnie drzewne, rozpalały ognie na puchach śnieżnych, zdobiących okryte pęczkami mchów gałęzie, rzucały nawet blask na zgrupowane u podnóża sosen zlodowaciałe zaspy. Bór stanął w powodzi migotliwych promieni wschodzącego słońca, które ukazało już na widnokręgu, nad zwartą ścianą przymglonych odległością lasów, żółty skrawek swego krążka. Lekki wiew wiatru potęgował jeszcze bardziej ostre tchnienie mrozu, przeszywającego zabójczo głębie leśne i zabłąkane w nich żywe istoty. A gdzieś z pobliskiej rzeki leciał, jak donośna salwa dział, huk pękającej lodowej powłoki.

Z korony gęsto rozkrzewionej sosny spłynął bezszelestnie duży, szary ptak. Jak cień przemknął się wśród drzew i na rozpostartych nieruchomo skrzydłach szybował poprzez gąszcze i polany. Czasami zwalniał tempo, okrążał jakieś miejsce, poruszał szerokiemi lotami i znowu zamierał w bezruchu, sunąc się bezustannie dalej. Jego bystre, pełne wyrazu okrucieństwa oczy lustrowały dokładnie okolicę, poszukując ofiary, a nerwowe drgania kurczowo zaciśniętych szponów, oznaczały tajoną wściekłość i straszny, nieznośnie dokuczliwy głód.

Ale bór był pusty, zda się wymarły. Nawet małe sikorki nie opuściły jeszcze swych kryjówek w głębokich dziuplach drzewnych. Panowała niezmącona żadnym szmerem cisza. Czasami tylko, strącony powiewem wiatru, spadał z gałęzi zmarzły płat śniegu i ze szklistem dźwięczeniem uderzał o zakrzepłe na mrozie leśne podłoże, albo z odległej drogi leciało żałosne skrzypienie sań i tętent kopyt końskich, pomieszany ze stłumioną przez odległość rozmową ludzką.

Naraz w ciszę leśną wkradł się nowy odgłos, dobrze znany lecącemu drapieżcy — pukanie dzięcioła. Gwałtowny ruch ciemno pręgowanego ogona i szybkie ude-

---

Spadł gęsty śnieg, potem na łeb na szyję zleciało słońce i zrobiło się tak, jakby cała ziemia pokryta była porowatym cukrem. Ptaki zimujące zaczęły już namawiać samiczki do słodkiego grzechu. Jest w powietrzu ćwierkliwie, jasno i wilgotno. Kury gdaczą, Osyp włóczy się po lasach, aby wypatrzeć głuszcowe toki, jego żona drepcze po leśniczówce, podbiera kury i szepcze pacierze, żeby odnaleźć swoją prawdę o człowieku. Tymczasem las ciągnie, jak wszyscy djabli. Cisnąłem pióro i, zakląwszy, jak rosyjski brodiaga, poszedłem...

— — — — — — — — — — — — — —

Słońce głaszcze ciepłemi palcami nagie pnie dębów. — Niebo błękitnieje poprzez białe kłęby obłoków. Wiatr biega wśród lasu, jak pies i ciepłym oddechem dmucha na wszystko. Osyp wstaje o czwartej w nocy, żeby „skakać“ do głuszców, które już grają w ostępie.

— Widzisz pan, głuchar‘, to rozumna ptica, sozdańje ono mądre! Poszedłby ze mną, posłuchał, jak win hraje...

— Dziękuję, Osyp, zostanę.

— Prosty ja człowiek, a widzę, że was, panoczku, złe myśli kusajut‘. Na taku dumku najlepsza rzecz: — w las i hladiet‘ kak żywioła wszelka na wiosnę raduje się...

Włożyłem jego kożuch, chodaki z surowca, które moczyły się dwa dni w kadzi, wypiłem krupniku z miodem, uwarzonego przez starą i poszliśmy.

Las był cichy, jak smutek zrezygnowanego człowieka. W mroku, bo księżyc już zaszedł, a do wschodu słońca było daleko, stąpałem za Osypem, który szedł śmiało i pewnie. Niekiedy bez szmeru przeleciała sowa, niekiedy odezwały się z oparzeliska i moczarów senne kaczki. — Pachniało kwasem wody, w której roztapia się ziemia i gniją trawy.

Doszliśmy tak po ciemku do olszyny na topielisku i Osyp zaczął skakać z kępy na kępę. Wpatrywałem się z natężeniem wzroku w jego plecy i robiłem to samo. — Nagle Osyp stanął i mocno złapał mnie za ramię:

— Hraje! — rzucił zdławionym głosem.

Nie słyszałem nic. Nagle z czarnej wełny mroku wyleciał ów charakterystyczny syk, jakby kto przeciągnął kostropatem drewnem o chropawy pień drzewny. Zacząłem się wsłuchiwać i wkrótce z czerni nocy spłynęła owa pieśń nad pieśniami, pełna zgrzytów, szeptów, wzdychań, miłosna cantalena lasu, wiosny i przedświtu. Pierwsze nuty zabrzmiały jak uderzanie nożem o szklankę. Potem już szły dźwięki za dźwiękami, trudne do opisania, pełne namiętnego zewu, odwiecznych tęsknot, zaklęć, błagań, wezwań i gróźb. Mało melodyjna była przecież ta pieśń pełna przedziwnej muzyki lasu, życia i kochania.

— Stój pan... — szepnął mi w same ucho Osyp, jednocześnie łapiąc mocną żylastą grabą za ramię. Aż syknąłem. Głuszec przestał w tej chwili grać i Osyp zmartwiał

rzenie skrzydłami, zmieniły kierunek lotu w stronę monotonnego postukiwania. — Bezszelestnie, jak tajemnicza zjawa, zsunął się jastrząb ku pewnej zdobyczy. Chęć zaspokojenia potężnego głodu wywoływała jeszcze boleśniejsze, dokuczliwsze pożądanie ciepłego mięsa. Jak piorun uderzył przeto na pstrego kowala leśnego, uczepionego czubka uschłej sosny. Ale przezorny dzięcioł, umykając spiralnie dookoła pnia, dotarł szczęśliwie do dziupli i zniknął w niej bez śladu, odzywając się tylko z głębi ostrym, donośnym głosem, w którym przebijała szydercza nuta trjumfu.

Przykre zniechęcenie ogarnęło rabusia. Leniwie wachlując rozpostartemi skrzydłami, poleciał dalej, w kierunku polany, na której, wciśnięta w cień kilku rozłożystych świerków, stała gajówka. Długotrwala podróż o głodzie jęła dawać mu się we znaki. Bolały go wyczerpane mięśnie, mdliła żądza posiłku. Usiadłszy więc na gałęzi pojedyńczego drzewa, stojącego nieopodal zabudowań ludzkich, jastrząb rozpoczął lustrację terenu. Jego żółte, tygrysie oczy przeszukiwały starannie każde zagłębienie śnieżnego całunu, każdą gałązkę przyległych krzaków.

Nagle drgnął. Z nad lasu, z groźnem krakaniem nadciągało stado wron, nieznośnych prześladowczyń szarego drapieżnika. Zamarł w bezruchu, sądząc, że go nie dostrzegą, przytulił się do pnia, by stać się jak najmniej widocznym. Napróżno. Czarne bractwo rozlokowało się na okolicznych gałęziach, w przyzwoitej jednak od niego odległości i wrzaskliwym zgiełkiem wieściło światu obecność znienawidzonego wroga. Parę śmielszych próbowało szarpnąć go nawet za zwieszony ogon. Oczy jastrzębia zapłonęły blaskiem wściekłości, czarne szpony wpiły się w korę drzewa, ale był bezsilny. Liczba wron była zbyt duża, aby mógł się odważyć na jakikolwiek wypad ku wielkodziobym kumoszkom.

Siedząc nieruchomo — obserwował zabudowania gajówki. Biała, śnieżna powłoka, rozedrgana w promieniach słońca barwami tęczy, otulała pochyłe strzechy. Ze sterczącego dumnie komina, obwieszonego długiemi soplami szklistego lodu, wąską smugą unosił się dym, strzelając wysoko do góry spiralnym wężykiem. Z obory dolatywało pobrzękiwanie łańcuchów i płaczliwe głosy owiec. Jak wrzaskliwa syrena auta, rozbrzmiewało niekiedy chrapliwe pianie koguta, przeciągłe i fałszywe.

I oto nagle z za stodółki pośpiesznym, rozkiwanym biegiem wysunęło się kilka rudych i czarnych kur. Radując się z odzyskanej swobody, rozczapierzały one skrzydła, machając niemi uciesznie, a potem silnemi szarpnięciami nóg odrzucały śnieg, przykrywający zeszłoroczne chwasty, wyzierające kępkami z pod płotu i zaczynały je namiętnie dziobać.

Jastrząb przyglądał się im z rosnącem z każdą chwilą zniecierpliwieniem. Uczucie głodu walczyło w nim z potężnym instynktem ostrożności. Lecz głód zwyciężył. — Jak ciężka kula, runął pierzasty drapieżnik na najbliższą drzewa kokoszkę, dopadł jej, zatapiając w grzbiecie zakrzywione ostrza zabójczych szponów. Przerażona ofiara ruszyła biegiem przed siebie, unosząc na plecach trzepocącego skrzydłami napastnika, z trudnością utrzymującego równowagę. Ale kilka silnych ciosów hakowatym dziobem zdruzgotało wątłą czaszkę kurzą. Kokoszka upadła martwa. Wystraszone towarzyszki rozpierzchły się z krzykiem po podwórku, kryjąc się starannie pod płotami. — Przyglądające się z oddali wrony, zawrzeszczały donośnie, wyciągając z zaciekawieniem szyje.

---

na miejscu, ciągle kurczowo ściskając moje ramię. Osyp znał widocznie pieśń głuszca na pamięć, bo wiedział, które jej partje oznaczają przerwę i stawał, jak wryty. Po dłuższej przerwie ptak ciężko przeleciał z jednego miejsca na inne i po chwili zaczął znowu miłosny zew.

Osyp skakał teraz szybko, ciągnąc mnie gorączkowo za sobą. Ledwo zdążałem za starym. Kiedy śpiew doszedł do owego dziwnego syczenia, jakby kto zanurzył rozpalone żelazo w zimnej wodzie, Osyp stanął.

Czarny atrament nocy rzedniał stopniowo, jakby kto dolał wody. Szarzały w półmroku gęstym pnie olch. Głuszec znowu zagrał i podeszliśmy na strzał.

— Teraz bacz, pan; — wisz hrebień ma krasny i korały.

Przyznam się, że nic nie widziałem, bo las był ciemny jeszcze i tylko czarna kula wielkiego ciala widniała wysoko nad nami. Sądzę, że i Osyp widział owe barwy i szczegóły raczej dzięki łowieckiej tęsknocie.

W tej chwili rozległa się pieśń miłosna poza nami. — Obejrzeliśmy się automatycznie. Nie było nic widać w gęstwie drzew. Śpiew przeniósł się w lewo, jakby rzucony z „ust do ust", a właściwie z dzioba do dzioba. Cały las zamarł, zasłuchany w granie potężnych ptaków, które tej wczesnej nocy marcowej dały sobie rendez vous. W tej ciszy, która gęstą cieczą opływała las, co chwila rozlegały się napół bojowe, napół serdeczne tony ptasiego serca. Miłość, starsza siostra życia, ale młodsza śmierci, dawała znać o sobie ze wszystkich stron lasu. Świat był zaczarowaną bajką, sennem królestwem ptasiem, gdzie człowiek był intruzem, albo pokornym czcicielem przyrody. Powietrze z szarego stawało się perłowe, niebo z czarnego ciemno niebieskie i w tej szklanej kuli jaśniejącego wciąż nieba, rozbrzmiewało miłosne nawoływanie, trjumfalna wola życia ,walki, zwycięstwa. Z chwilą, kiedy w jednej stronie lasu śpiew zamilkał, rozpoczynał się natychmiast w innej, płynąc z niewidzianych dali, z gęstwy, nieprzebitej wzrokiem, z powietrza, przesyconego wiosenną, wczesną rują, drapieżnem pożądaniem, które było na początku świata i będzie u jego najdalszego końca. I tak to rosło, potężniało, razem z dniem, który wstawał z mroków, niby kryształowy okrzyk życia, szczęścia i miłości...

— — — — — — — — — — — — —

— Da pan, — szepnął nagle Osyp. Nie budiem strielat'.

Uścisnąłem mu w milczeniu rękę. Dzień stał się zupełny i częste łopoty skrzydeł w gęstwie oznajmiały koniec miłosnej gry. Jeden kogut przeleciał prawie nad naszemi głowami.

Osyp roześmiał się od ucha do ucha:

— Nie każdy o c h o t n i k zawsze strzela. Ot, las pobaczył i durne dumy rozegnał. Wot, kak...

I, zadowolony z siebie zapalił fajkę.

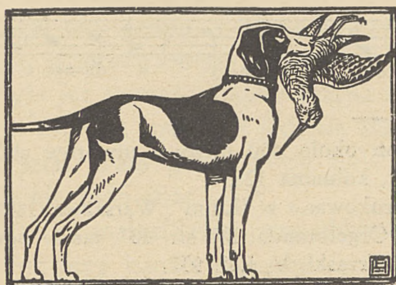
Ale szary drapieżnik nie zważał już na nic. Widok czerwonego, gorącego mięsa zaślepił go, upajała woń płynącej z ran ofiary krwi... Szybkiemi chwytami dzioba wyszarpywał kłaki pierza, rozlatującego się z wiatrem daleko dookoła, byle tylko prędzej uśmierzyć tępy ból skórczów żołądka, byle zaspokoić szaloną żądzę pożywienia. Z łapczywością pochłaniał wydarte z kurzej piersi strzępy mięsa, nieczuły na ostre podmuchy mroźnego wiatru, szarpiącego bezlitośnie jego szatę.

Naraz z przed chaty buchnął słup ognia i dymu, a straszny huk targnął powietrzem. Oszalały z trwogi ptak pomknął z szybkością strzały w stronę boru. Czuł jakiś zamęt w głowie i nieznośne palenie w piersiach. Dopadł wreszcie drzew i usiadł na grubej gałęzi. A z polany, jak duchy prześladowcze, pojedyńczo, nadciągały ku niemu rozproszone wystrzałem wrony. Drapieżnik czuł, że opanowuje go jakaś dziwna niemoc, że żelazne dawniej jego siły poczynają go opuszczać. Ze śnieżno-białej, szaro chmurkowatej piersi, jak cudne rubiny, spływały krzepnące na mrozie krople krwi. Straszne, żółte jego oczy przymykały się, przesłaniały mętnym welonem mgły. — Tracił równowagę, słaniając się na nogach, które zdawały się nie wytrzymywać już ciężaru ciała.

Aż wreszcie zachwiał się tak silnie, że tylko ostatkiem świadomości zdołał utrzymać się jeszcze na konarze. Z przestrzelonej piersi bryznęła obficie krew, spadając gęstemi kroplami na śnieżny całun leśnego podłoża. W małem, zamierającem już sercu rodził się jakiś straszny lęk przed śmiercią, jakiś dziwny żal. Bo czyż był winien, że natura stworzyła zeń krwiożerczego, szkodliwego dla ludzi drapieżnika? Pochylił się silnie raz jeszcze. Rozradowane wrony zakrakały chóralnie, długo, wesoło...

A jastrząb ciężko oderwał się od gałęzi i z trzaskiem drobnych sęczków, łamanych własnem ciałem, upadł na zmarzły, zeszroniały śnieg. Leżał cicho, nieruchomo, z bezładnie rozrzuconemi skrzydłami i tylko groźne szpony, które wydarły życie tylu mieszkańcom boru, zwierały się wolniutko już po raz ostatni. Ale w całej postawie leżących zwłok było jeszcze tyle grozy, tyle okrucieństwa, że wrony nie śmiały się do nich przybliżyć. Siedziały bez ruchu, wpatrując się w martwe stygnące ciało dawnego wroga — postrachu wszelkiego żywego stworzenia, zahypnotyzowane jego potęgą, nieufne i zalęknione.

Zaczynał padać śnieg. Bujne, migające dziwacznie w powietrzu płatki przysłaniały świat przejrzystą, zwiewną firanką, otulały ziemię miękkim puchem, pokrywającym i okrwawione, zesztywniałe zwłoki jastrzębia. Bór, który go wychował, bo w jego przekonaniu wszystko, co żyje — ma prawo do życia, oddawał mu ostatnią posługę.



WITOŁD ZIEMBICKI

# MYŚLISTWO A MUZYKA

X.

(Ciąg dalszy).

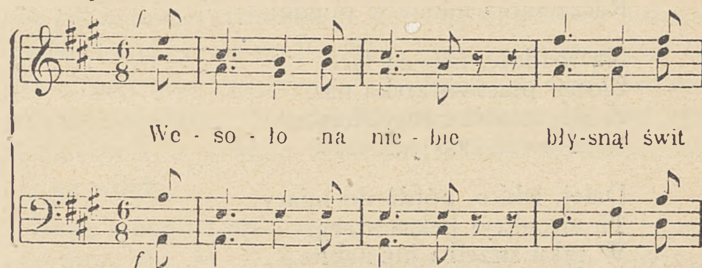
## 5. RÓŻYCKI - WOJCIECHOWSKA - ZAWADZKI

Aleksander Różycki, znany muzyk i pedagog, ojciec współczesnego kompozytora, Ludomira, skomponował muzykę do słów Grajnerta, podobnie jak Hertz[1]).

Chór myśliwych.

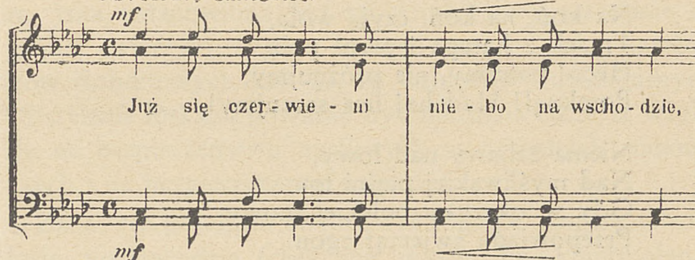
*Al. Różycki.*

*Allegro risoluto.*




Leokadja Wojciechowska napisała muzykę do słów Wł. Andrychiewicza „W pole myśliwi"[2]).

Moderato cantabile.




Już się czerwieni niebo na wschodzie,
Już na nas woła skowronek,
W pole myśliwi o nocnym chłodzie
Wyruszmy, nim wzejdzie dzionek.

Niecierpliwy czeka zwierz,
Więc myśliwcze spiesz się spiesz!

Jeśli zabijesz choćby kwiczoła,
Zawiesisz go u torebki,
Piórka, skrzydełka, zatkniesz u czoła
I będziesz wesół i krzepki.

Każdy powie, żeś nie fryc,
Lepszy bowiem rydz, niż nic!

Lecz jeśliś zabił zwierza grubego,
Dzika, lub może rogacza,
Każdy cię nazwie chętnie kolegą,
Nie będzie miał za partacza

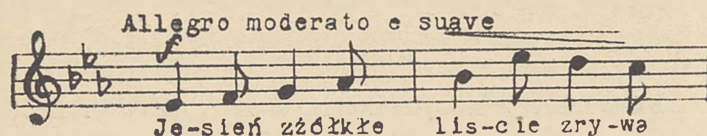
Pomożemy zwierza nieść,
Wypijemy na twą cześć!

---

[1]) Zob. wyżej, r. 1935, str. 144. — Muzyka Różyckiego w całości w „Lutni" zesz. VI, Warszawa, 1905, str. 115.

[2]) Zob. „Pieśniarz" zesz. I, str. 23.

Michał Zawadzki jest autorem muzyki do wiersza hr. Adolfa Mostowskiego, p. tyt.: „Pieśń myśliwska"[3]).




Jesień zżółkłe liście zrywa
Naga gałąź, suchy bór,
Trąbka myśliwych przyzywa,
Echa głośny niosą wtór.

Hop, hop, w knieje, hej! ogary,
Przez zarośla, góry, jary,
Hop, hop, bracia, hej, do broni,
Rącza sarna mknie w pogoni.

Na rozdole, tam na łące,
Błotne ptactwo czeka nas,
Znikły z roślin rosy drżące,
Zapolować czas już czas.

Dalej, lekko, pójdź do miary,
Tu się ukrył bekas szary,
W ręku strzelba już nabita,
Pif! ptak wzleciał, strzał go wita.

Mroźno... Konie posiodłane
I na smyczy czeka chart.
Bo ścierniska przeorane,
W roli zając szczucia wart.

Na koń, na koń, czyja wola,
Trzask z harapa i przez pola,
Heco! patrzmy, nie próżnujmy,
Pomknął! Hadżha! lisa szczujmy!

Niema zabawy nad łowy,
Nad myśliwskiej pieśni ton,
Gdy w okrzyku polskiej mowy
Przepowiada zwierząt zgon.
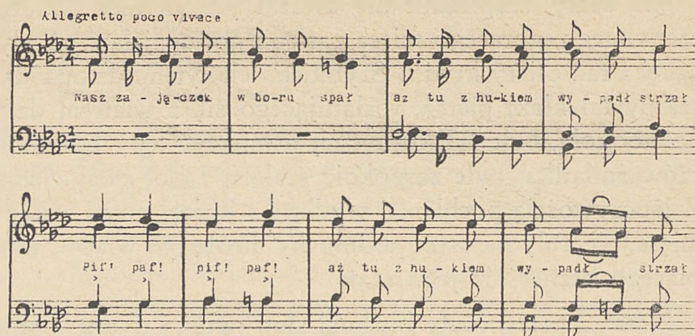
Niema uczty nad śniadanie,
Co poprzedza polowanie,
Niema serc jak u myśliwych,
Choć okrutnych, lecz poczciwych.

## 6. „ZAJĄCZEK" KONOPNICKIEJ, MUZYKA NOSKOWSKIEGO

Na zakończenie tego wyboru pieśni różnych autorów, podam utwór ze wszechmiar udatny, a stosunkowo mało rozpowszechniony. Jest to „Zajączek" znakomitej poetki, Marji Konopnickiej z muzyką Zygmunta Noskowskiego. Przytaczam go w całości, w harmonizacji Mieczysława Krzyńskiego, zastosowanej do chóru męskiego[4]).

[3]) Nuty wraz ze słowami wydała w swoim czasie firma Gebethnera i Wolffa w Warszawie .

[4]) W tym układzie była pieśń wykonana po raz pierwszy na wieczorze myśliwskim muzykalno-wokalnym, urządzonym przez Korpus Kadetów Nr. 1, im. Marszałka Piłsudskiego we Lwowie, dnia 16 listopada 1935. Odśpiewał ją chór Korpusu pod batutą M. Krzyńskiego. Tekst muzyczny posiadam w rękopisie.




*Prawo przedruku zastrzeżone.*

2. Nasz zajączek cały drży
   A tu w boru gonią psy
   Hau! hau! hau! hau!
   A tu w boru gonią psy.

3. Jeszcze mi ten miły świat,
   Jeszczem sobie pożyć rad.
   Myk! smyk! myk! smyk!
   I zgubiły pieski ślad.

## XI

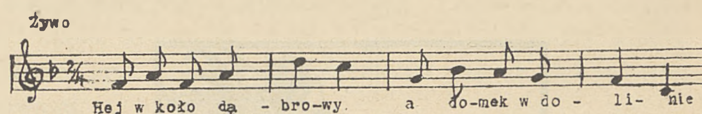
## LAS W PIEŚNI

Ilość pieśni, zbliżonych tematem do myślistwa, zaczerpniętych ze świata przyrody, zwłaszcza przyrody żywej, jest tak olbrzymia, że nie może być mowy choćby tylko o pobieżnem wskazaniu najrozmaitszych jej odmian. Wyjątek wszakże należy uczynić dla pieśni, poświęconej lasowi. Niemcy posiadają całe zbiory takich pieśni (Waldlieder). Stanowią one u nich integralną część śpiewników, przeznaczonych dla leśnika i myśliwego zarazem i zażywają wielkiej popularności tak w prywatnem, jak w gromadnem życiu braci z pod zielonego sztandaru.

Z utworów, przyswojonych naszemu inwentarzowi śpiewaczemu, wymienię np. pieśń pod tyt.: „Las", której autorem jest Robert Franz, zmarły z końcem ub. stulecia, niezwykle płodny pieśniarz niemiecki[1]). Pieśń jest rodzajem apoteozy lasu, pojętej z punktu widzenia estetycznego, ale zarazem i myśliwskiego. Słowny tekst polski wykazuje niestety pewną nieudolność[2]).

Rodzimych pieśni, poświęconych życiu leśnemu i tajemniczym pięknościom naszych borów, puszcz i kniei, mamy i my ilość pokaźną. Coprawda mniej jest wśród nich wesołych, lekkich piosenek popularnych, ale za to możemy się poszczycić pięknemi, wspaniałemi nawet kompozycjami w tej dziedzinie, na wysokości prawdziwej sztuki pozostającemi.

Przykładem drobniejszych utworów może być Ignacego Dobrzyńskiego[3]) „Piosnka gajowego" do słów Stefana Witwickiego[4]).




[1]) Zostawił on około 350 pieśni i utworów chóralnych. Zob. Enc. Trzaski, II, kolumna 128.

[2]) Pieśń wydrukowano w „Lutni", Warszawa, 1894, zesz. 14 str. 9.

[3]) Zob. Enc. Orgelbranda, IV, str. 407, tamże portret.

[4]) Zob. Enc. Trzaski, V, kol. 937.

Hej wkoło dąbrowy,
A domek w dolinie,
Bodaj żył gajowy,
Przy lubej dziewczynie!

Sobie żyjem sami,
Puszcza nas osłania,
Nam tu las z wiatrami
Jak państwu się kłania,

W białych pańskich dworach
Muzykantów granie,
Milsze w czarnych borach
Kukułek kukanie.

W białych pańskich dworach
Słudzy z pochodniami,
Nam tu w czarnych borach
Wszedł miesiąc z gwiazdami.

Miesiącu nie gaśnij,
Rosa połyskuje,
Świecą myśli jaśniej,
Żywiej serce czuje.

Idź, kto chcesz, do dworów,
Dworskim ciesz się stanem,
Ja sobie wśród borów
Jestem strzelcem, panem![5])

Z utworów poważniejszych wymienię następujące kompozycje:

„Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy...", partja z opery T. Wydżgi „Pan Tadeusz"[6]).

„Bory litewskie", wydawnictwo Zakładu kórnickiego, słowa Henryka Sienkiewicza[7]);

„Zaszumiał ciemny las", słowa K. Tetmajera, muzyka Tomasza Godeckiego[8]), do tychże słów muzyka Henryka Opieńskiego[9]);

„Szumi las", Mieczysława Karłowicza, rzecz odtworzona przez chór męski po raz pierwszy dnia 12 grudnia 1935 w audycji radjowej z Poznania. C. d. n.

---

[5]) Tekst podaję za „Lutnią polską" nr. 5 z dn. 1 marca 1885. — Tasama pieśń pod nazwą „Strzelec gajowy" figuruje w Polskim śpiewniku szkolnym (Maszyńskiego) wyd. nowe (bez daty) Geb. i Wolff, str. 16.

[6]) Partja litografowana w zbiorze Tow. śpiewackiego „Echo" we Lwowie.

[7]) Nakład i druk Anczyca, Kraków, 1902.

[8]) „Pieśniarz" j. w., zesz. 1 str. 12.

[9]) W wydawnictwie Chórów męskich a cappela, Henryk Opieński, Cztery pieśni, Poznań, nakładem Wielkopolskiego Związku Kół śpiewaczych, 1927.

HIERONIM TARNOWSKI

# Kilka uwag

W dniu 31 grudnia 1935 r. przeszła za dnia grubsza sztuka na moje terytorjum z obwodu łowieckiego Gromady Jeżowe, dzierżawionego przez miejscowych „myśliwych". Była już prawie całkiem czarna stopa, nie można więc było otropić, ustalono jedynie kierunek, w którym sztuka szła. Tam gdzie tropy były wyciśnięte na śniegu, farby nie było znać.

W dniu 3 b. m. znalazł leśny przy obchodzie, martwego odyńczuka, tuż przy kanale nawadniającym łąki, z którego widocznie postrzałek chciał się napić wody, lecz nie miał już siły dojść. Strzelony był grubym śrutem w miękkie. — Ponieważ od 31 grudnia nikt w okolicy nie polował na dziki i wogóle nie było słychać żadnych strzałów, a sekcja leśna w której odyńczuk został znaleziony, leży w kierunku, w którym szła owa grubsza sztuka w dniu 31 grudnia — zatem nie ulega kwestji, że znaleziony odyńczuk jest tą sztuką, która przeszła na moje terytorjum w dniu 31 grudnia. Fakt, że był strzelony śrutem, tłumaczy brak farby na tropach. — Śmierć nastąpiła niedługo przed znalezieniem, bo dzik nie był zesztywniały, a krople farby sączyły się z gwizda.

Ile i jak długo musiał się biedny zwierz namęczyć, zanim zdechł od śrutowej rany!

Prawdziwi myśliwi uważają za obowiązek etyki myśliwskiej, by zadając zwierzynie śmierć, zadawać jej możliwie jak najmniej cierpienia — i starają się o to, by ludziom pozbawionym etyki myśliwskiej, prawo nie dozwalało zadawać męczarni zwierzynie. Osiągnięto w tym kierunku poważne rezultaty. Ustawa Łowiecka zakazuje pod karą łapanie ptaków w sidła, a drobnej zwierzyny czworonożnej na wnyki.

Biorę asumpt z opisanego powyżej wypadku, by zaproponować, aby M. T. Ł. wdrożyło kroki celem zabezpieczenia także grubszej zwierzyny przed mękami, spowodowanemi przez strzelaczy podszytych kłusownikiem, którzy niestety tak często uzurpują sobie nazwę myśliwych. Proponuję mianowicie podjęcie starań, by mająca wyjść nowela do Ustawy Łowieckiej, zakazała pod tą samą karą, jaka ustanowiona jest na wnykarstwo, strzelanie do grubej zwierzyny śrutem, lotkami oraz kulami z karabinków flobertowych kal. 22, ze względów humanitarnych. (Strzelanie lotkami powinno być zakazane także ze względu na bezpieczeństwo myśliwych na sąsiednich stanowiskach i na bezpieczeństwo naganki).

Zakaz ten powinien obejmować rogacze, daniele, jelenie, łosie, niedźwiedzie (choć nie myślę, by komukolwiek przyszło do głowy strzelić do niedźwiedzia lotką, a tem bardziej śrutem) i dziki. Uważam, że podciągnięte pod ten zakaz powinnyby być także wilki i rysie — nie spotkawszy się nigdy z nimi, nie śmiem twierdzić tego — sądzę jednak, że jako zwierzynie szlachetnej, należy im się kula.

Przy tej sposobności powtarzam moje „caeterum censeo": Oczekiwana nowela do Ustawy Łowieckiej powinna nałożyć na Starostów bezwzględny obowiązek, by nie wydawali nikomu karty łowieckiej, ani nie zatwierdzali nikomu dzierżawy obwodu łowieckiego, bez otrzymania od powiatowego Delegata M. T. Ł. względnie P. Z. S. Ł. zaświadczenia, że dany reflektant na dzierżawę obwodu łowieckiego, względnie proszący o kartę łowiecką zasługuje na zaufanie z myśliwskiego punktu widzenia.

Jeżeli nowela do Ustawy łowieckiej nie będzie zawierała takiego postanowienia, to nasze stosunki myśliwskie, tak pod względem etyki myśliwskiej, jak pod względem hodowli zwierzyny, nie zostaną nigdy uzdrowione — a ingerencja Delegatów powiatowych w celu ich uzdrowienia, pozostanie nadal iluzoryczna. Dlatego proponuję, by M. T. Ł. podjęło starania celem wprowadzenia takiego postanowienia do Noweli Ustawy Łowieckiej.

# Jeleń dziesięcioletni

ubity w Zwierzyńcu Schneeberg w Czechach, dnia 25 sierpnia 1935, wagi 14 kg



Właściciel tego zwierzyńca p. Vogt, zapomocą przeprowadzania analiz roślin leśnych, przekonał się, jakie im brakują składniki do powiększenia rozrostu rogów u cerwidów i wytworzył je sztucznie. Rezultat nie dał długo na siebie czekać. Po kilku latach tego sztucznego dokarmiania jeleni, wieńce ich niemal się podwoiły. Jak widzimy na powyższej fotografji, młody jeleń pobija wagą i rozmiarami wieńca jelenia rekordowego ks. Montenuovo (a raczej, pobiłby go, gdyby był jeleniem w stanie wolnym).

Jak nam donoszą, w zwierzyńcu Schneeberg są trzyletnie byki, które noszą już wieńce od 16-aków w zwyż.

Ale przypatrzmy się teraz i odwrotnej stronie medalu. Pomijając już wątpliwą przyjemność myśliwską ubicia takiego „sztucznego“ olbrzyma w 140 hektarowym, ogrodzonym parku, należy się zapytać, czy ta sztuczna produkcja wieńców da się zastosować w wolnych łowiskach, gdyż wtedy tylko miałaby realną wartość. Odpowiedź wypadnie negatywnie. — Proceder ten jest bardzo kosztowny. Pana Vogta kosztuje on około 100.000 zł. rocznie na tak małej przestrzeni, jest więc na wielkich obszarach, nie tylko dzisiaj, ale i w czasach dobrej konjunktury nie do zrealizowania. — Jest to, na razie przynajmniej, interesująca bardzo zabawka multimiljonera.

A. M.

W. JACKOWSKI

# Gospodarka lisia

W zimie odbywamy ponętne łowy na białej stopie. Jest to właściwy okres polowania na lisa, tej ozdoby naszych łowisk. Co za rozkosz — celnym strzałem ubić tego sprytnego drapieżcę; co za duma, mieć w swym rejestrze łowieckim w ciągu sezonu, zdobytych kilka lisów!

Chociaż nie brak myśliwych, zresztą czynnych i ruchliwych — nie mogących od szeregu lat poszczycić się upolowaniem lisa, co wskazywałoby, że lisów niewiele, to jednak, jak coroczna statystyka wykazuje, na ogół ilość ubitych lisów w naszym kraju jest bardzo duża, co — wobec wielkiej wartości futerka tego niestrudzonego szperacza naszych pól i lasów — dowodzi o wielkiem bogactwie naszych łowisk.

Ale nierozumna nasza gospodarka z jednej strony, z drugiej zaś — brak jakiejkolwiek ustawowej ochrony dla tego „wyrzutka“ świata zwierzęcego, obniża znacznie to naturalne bogactwo. Pomijając, że hodowcy bażantów, kuropatw i innej drobnej zwierzyny, w interesie powodzenia hodowli zwalczać muszą bezwzględnie tego krwiożerczego intruza, to jednak tam wszędzie, gdzie tego nie ma potrzeby, winien lis być traktowanym jak każda inna zwierzyna łowna. I nie wyczekując, aż nasza ustawa łowiecka w swem ujęciu przyszłem i lisa — jako twór Boży — potraktuje i jemu jaki kącik ochrony użyczy, winniśmy — w myśl zasady etyki łowieckiej i w interesie krajowej gospodarki futerkowej, rozumniej ustosunkować się do tej lisiej gospodarki.

W obecnych czasach, gdzie kryzys i myśliwemu daje się we znaki, — wysokie opłaty polowania, zbyt droga amunicja, niezbyt obfity stan zwierzyny, lekceważenie przemysłu futerkowego przez myśliwych, jest dowodem albo bezmyślności, albo braku zmysłu praktycznego.

Przy dzisiejszej wysokiej cenie skórki lisiej, dającej 2 do 3-krotną wartość 1 q żyta, więc o 100 do 200% wyższą od ceny przedwojennej, przy tej łatwości rozmnoży i hodowli lisa w drodze naturalnej, wreszcie wobec łatwości zbytu futerek w krajowych firmach po unormowanych, korzystnych cenach, to warunki, dla których warto zdobyć się na życzliwe traktowanie lisa i zainteresować się prawidłową eksploatacją jego futerka.

To życzliwe traktowanie lisa zasadza się głównie na racjonalnem polowaniu, a więc ograniczyć się winno do ubijania lisa jedynie w okresie zimowym i to na białej stopie; rozpoczynać polowanie w połowie grudnia, kończyć w połowie lutego, w tym bowiem czasie giełda futerkowa podaje najwyższe ceny. A chodzi nam właśnie o najlepszą cenę. Jak praktyka wykazuje, najwartościowszem jest futerko lisie w styczniu, ma bowiem bujny, czysty włos i spodem gęsty puch i w styczniu są największe zapotrzebowania firm; do połowy lutego cena utrzymuje się, następnie obniża gwałtownie, by z początkiem marca spaść o 25 do 50% — zależnie od warunków atmosferycznych. Praktyczny myśliwy nie będzie się śpieszył z polowaniem na lisa i tylko wyjątkowo — przy wczesnej ostrej zimie, odstrzeli w listopadzie lisa; właściwe polowanie odłoży na pełną zimę, a w marcu pewno nie będzie lisa prześladował, wiedząc, że po cieczce lisiej w lutym — już z początkiem marca szczenne liszki szykują jamy na przyjęcie młodych, winne przeto ze względów etycznych być chronione. I w marcu też nie powinno się puszczać psa do jamy, by nie niepokoić liszki.

Rzecz naturalna, że kto chce poszczycić się lisami w swem łowisku, nie będzie niszczył jam ani borsuczych ani lisich w żadnej porze roku.

Kto chce mieć u siebie w kniei zdrowe i dorodne osobniki, winien dostarczyć lisom w czasie zimy padlinę — najlepiej końską, by miały pożywienie i trzymały się miejsca. Padlinę należy dać w listopadzie czy w grudniu; w lutym ze względu na cieczkę, lisy w ekstazie miłosnej o ścierwie nie myślą i tylko wyjątkowo do padliny dochodzą.

Zjawiające się w łowisku parszywe osobniki, dziś na szczęście sporadyczne, należy ubijać bezwzględnie i zakopywać głęboko w ziemi.

Stosując powyższe zasady, da się utrzymać pewien kontyngent lisi w łowisku, bez szkody dla innej zwierzyny (z wyłączeniem pierzastej); w okolicy lesistej o większych kompleksach leśnych lis łatwo się chowa, na 1000 ha pow. można bez szkody dla tegoż egzystencji rocznie 10 do 20 lisów odstrzelić i to bez kosztów i bez specjalnych przygotowań.

Umiejętne tropienie i podchodzenie, wytrwałość i cierpliwość oraz szybki i celny strzał — oto środki do zdobycia tego pięknego, cennego trofeum.

Ale nie na tem kończy się gospodarka lisia. Ubicie lisa — zwłaszcza na podchodnego — to wyczyn, pełen czaru i wzruszenia, pozostawiający w rozradowanej duszy myśliwego niezatarte wspomnienie: oto piękny, zimowy dzień, czy cudna księżycowa noc... na srebrno-brylantowym kobiercu — u nóg myśliwego-zwycięzcy z rozedrganem z wielkiej emocji sercem, jak złota zjawa — spoczywa strzelony lis. To poemat o wysokiej skali uczuć, to ogrom prawdziwego zadowolenia, dla którego warto się trudzić. Niestety — na tem kończą zwykle miłośnicy lisich łowów swą zdobywczą akcję; odpowiednie wyzyskanie tej cennej zdobyczy to dla nich sprawa drugorzędna, którą zbytnio bagatelizują i wskutek czego, ze szkodą własną i dla krajowego przemysłu futerkowego, niewłaściwie eksploatują ten naturalny skarb.

Jak praktyka wykazuje, około 50% skórek lisich jest mniej lub więcej uszkodzonych, wskutek niedbałej i nieumiejętnej eksploatacji. — Chociaż technika eksploatacji tak prosta i łatwa, wymagająca trochę wytrwałości i staranności chociaż w „Łowcu“ z r. 1931 Nr. 7 str. 10 znajduje się doskonały artykuł p. Z. Jabłońskiego na ten temat ze szczegółowem pouczeniem, ciągle jeszcze z winy myśliwych przepada bodaj połowa kapitału „lisiego“.

Pamiętając o tem, że nie można ubitych lisów składać w kupy z inną zwierzyną, czy też rzucać je w kąt, by się „odleżały“, ale — że należy z nich możliwie jak najrychlej zdjąć futerko bez uszkodzenia, dalej — że wywróconym włosem należy starannie futerko napiąć na odpowiedniej deseczce i wysuszyć — nie przy piecu, ale w przewiewnem, suchem, ciepłem miejscu i po 2 do 3-ch dniach, wysuszone futerko wyszczotkować, przyczynimy się znacznie do poprawy gospodarki futerkowej z wielką dla siebie korzyścią.

By wykazać, jak duża strata powstaje wskutek nieracjonalnej eksploatacji futerek lisich — podam parę szczegółów z przemysłu futerkowego, dostarczonych przez jedną znaną firmę lwowską za okres 1934/35. Dostarczono ogółem skórek lisich 560 sztuk, z tego uszkodzonych było 450 sztuk, a to z winy złego ściągania, złego suszenia, zleżenia, względnie zawczesnego — przed zimą — strzelania.

Licząc cenę przeciętną po 30 zł. za prawidłową skórkę, z powyższego zestawienia wynika, że wskutek niedbalstwa czy nieumiejętności eksploatacji, obniżyła się wartość skórek przeciętnie o 80—90%, czyli efektywna strata wyniosła w sumie okrągło 15.000 zł. — A wszak w samym Lwowie mamy 6 firm futerkowych, więc w okręgu lwowskim można przyjąć wysokość straty do 90.000 zł.

A nie wliczam w to z kretesem zniszczonych i wyrzuconych skórek, nie wliczam straty — przez zbywanie za byle co tego wartościowego artykułu, pokątnym, wędrownym handlarzom.

Możnaby tej niezdrowej gospodarce zapobiec przez urządzanie dla zainteresowanych jednodniowych kursów praktycznych przy delegaturze M. T. Ł. w pow. Koszt niewielki, a korzyść duża, zwłaszcza, że fachowe wskazówki udzieliłby znawca przemysłu futerkowego p. K. Schürer, który też chętnie nabywałby od producentów tego surowca, zapasy zdrowych, dobrych futerek.

Proszę przeto Szan. Administrację M. T. Ł., o rozpisanie ankiety na temat:

1. Czy jest potrzeba zorganizowania kursu praktycznego przy delegaturach łowieckich — jeśli tak, to:

a) czy jest na miejscu instruktor,

b) ilu byłoby kandydatów nakurs.

2. Z którego łowiska i jaką ilość skórek lisich przypuszczalnie byłaby do nabycia w sezonie 1935/36?

3. Czy dałoby się skoncentrować skup skórek w powiecie i w jakiej miejscowości.

Sprawa o tyle pilna, że przy sprzyjających okolicznościach możnaby już w tym sezonie podnieść wytwórczość futerkową i zbyt surowiec bezpośrednio firmie, z wielką korzyścią dla producenta.

JAROSŁAW HUBALEK
Tłum. Wł. Karnkowski

# „Cygan Mykita"

(Ciąg dalszy).

Na łące pasł się ledwie trzymiesięczny zajączek. Naiwny był i głupiutki, skoro pasł się pod samym krzakiem karłowatej brzozy, zasłaniającym mu widok na to, co się poza nim działo. Za taką nierozwagę los się mści.

Liski pełzały równolegle z obu stron krzaka, tylko nerwowsza Ryżka wyprzedzała brata o pół metra. Zdradziecka brzózka wesoło szumiała, a niedoświadczony zajączek niekiedy tylko brał wiatr, zapominając o tem, że za wiatrem może być gorzej, niż pod wiatr. To też liski podkradły się na jakieś cztery metry. Przezorniejszy Cygan byłby może dla pewności skrócił nieco dystans, lecz niecierpliwa Ryżka nie wytrzymała. Skoczyła na zajączka, ten zaś w nagłym przestrachu uskoczył tak nieszczęśliwie, że o mały włos nie obalił Cygana. Cygan zaś kurczowo wbił w jego kark ostre ząbki. Może byłby się z nich uwolnił biedak nagłym ruchem, lecz na pomoc rabusiowi zdążył w porę przybyć drugi. Na wrzask duszonego zająca wnet odpowiedziały skrzekliwie okoliczne sojki, usłyszał go stary borsuk, wyciągając ciekawie ku łące śpiczastą mordkę, sikorki zaś srebrzystem ćwierkaniem wydzwoniły biednej ofierze pozgonne.

A liski tymczasem ucztowały. Szło im trudno i opornie, mleczne ząbki nie mogły poradzić tak dużej zdobyczy, wkońcu jednak otwarły jamę brzuszną i rzecz poszła o wiele łatwiej. Mrucząc z zadowolenia, nie zwracały uwagi na dwie wrony siwuchy, które groźnym krzykiem usiłowały odegnać głodomorków od łupu. I dopiero, gdy natrętne ptaki niemal ocierać się zaczęły o noski biesiadników, to Cygan, to Ryżka, skakały im wściekle do oczu. Wrony jednak nie ustępowały. Nieustannem krakaniem przywołały wreszcie pomoc i kto wie, jakiby obrót wzięły sprawy, gdyby Cyganowi nie była przyszła do głowy szczęśliwa myśl, odciągnąć zdobycz w gąszcz. — Od tej chwili zapamiętał sobie na całe życie tę zdrową maksymę, że zawsze i wszędzie dar losu kryć należy przed zawistnem okiem, jeśli się chce wykorzystać go spokojnie.

Dziś już liski za nową zdobyczą się nie uganiały, syte były, jak nigdy jeszcze dotąd. Znalazły sobie cienisty i bezpieczny zakątek w nieprzeniknionej gęstwinie pod skałką. Stały tu odwieczne graby i buki, zwarto podszyte świerkiem i jodłą, o rozrosłych, rozłożystych gałęziach. Niejedna z nich, do połowy zakryta spadłym liściem, zdawała się wprost z ziemi wyrastać. Pod wieczór siadywały na nich kosy, śpiewając o zmroku fletniowe arje usypiającego lasu, póki same nie usnęły.

Przespawszy dzień cały, nasze liski obudziły się nad wieczorem, nabrały w noski wiatru i cichutko, ruszyły w stronę łąki, gdzie się im rano tak znamienity kęsek przytrafił. Zawiodły się tym razem, łąka bowiem była pusta, a wietrzyk mówił im wyraźnie, że niema na niej ani nawet myszki.

Gwiazdy już rozbłysły na niebie, gdy liski, nie spotkawszy w swej wędrówce żywej duszy, znalazły się na wąskiej, a nieskończenie długiej łące. Szły, posłuszne tradycji swych przodków, brzegiem lasu, pod wiatr. Gdzieś tarło się drzewo o drzewo, a wiatr niósł ton skrzypiący, napozór obcy wszem leśnym echom. Liski się zatrzymały, długo badając uchem i nosem przyczyny tego zjawiska, zanim w dalszą ruszyły drogę. Po jakimś czasie wiatr przyniósł im lubą woń mięsa, tak miłą i mocną, że stanęły jak wryte, a potem centymetrowemi kroczkami podkradły się na sam brzeg łąki, skąd całą objąć można było wzrokiem. Usiedli oboje za leszczynowym krzakiem i zaczęli rozglądać się — sami dobrze ukryci. Przed sobą mieli górską łąkę, dotąd nieskoszoną, tutejsi górale bowiem zwlekają z sianokosami aż do sprzątnięcia zbóż. — Wysokie źdźbła traw zastaniały wprawdzie pole widzenia, dojrzeli jednak w odległości zaledwie trzydziestu kroków samę z dwoma sarniętami. Podczas, gdy matka przeważnie badała okolicę i wietrzyła, sarniątka wesoło skakały koło niej. Ślicznie wyglądały w równo centkowanych, jakby pręgowanych sukienkach.

Lis jest drapieżcą, nieprzystępnym dla względów rodzinnych, czy uczuciowych skrupułów, i widzi nie rodzinną idyllę, lecz jedynie smaczny kąsek. Że jest zbyt duży, to nie przeszkadza. Dopiero później, bogaty życiowem doświadczeniem, zdobywa się na chłodne rozumowanie i bez namysłu wyrzeka się niekiedy łupu, łatwego napozór do zdobycia.

Nasza parka nie miała jeszcze żadnego doświadczenia. stoi przed nimi jedno wielkie zwierzę, spewnością silniejsze od nich, więc dadzą mu spokój; natomiast dwa małe i słabe zwierzątka, nie oprą się, ulegną sile ich ataku. — Głuptasy — nie wiedziały, że w naturze poza głodem są jeszcze inne nici, łączące ze sobą jej twory. Nie powiedziała im tego własna matka, powiedzieć musiało życie.

Krok za krokiem pełzały liski bujną trawą. Atak ułatwił im koziołek, biegając i skacząc swawolnie zbyt daleko od matki. Skoczył raz, drugi, chciał poskoczyć poraz trzeci, gdy niespodzianie wynurzyły się z traw dwie postacie, prawie równocześnie skacząc sarniątku do gardła. Pierwszą, jak zwykle, była w ataku Ryżka. Tuż za nią podążał Cygan, by mocnem szarpnięciem powalić na ziemię ofiarę, gdy prawie w tej samej sekundzie usłyszał głos duszonego koziołka i mocny tętent, tak, że ledwie, ledwie, zdążył uskoczyć w bok. Ostre racice matki-sarny zawisły nad Ryżką, obsunęły się wprawdzie po grzbiecie, ale dotkliwy ból przeszył drobne jej ciałko. Boleśnie zaskomlała, odskakując równocześnie od ofiary, mimoto jednak sarna wspięła się do nowego ataku. Tym razem Ryżka została ugodzona z boku w głowę tak silnie, że się zachwiała. Na jej szczęście Cygan był niedaleko. Wystraszył się, to prawda, lecz zachował całą odwagę i przytomność umysłu. Szczeknął dyszkantem i z wyszczerzonemi zębami stanął w pozycji zaczepnej. Sarna zmieniła front — skoczyła na niego. Umknął się. Skoczyła powtórnie, on znów uniknął ciosu. Widząc, że walka może być nierówną, zaczął zmykać do lasu, a sarna, zaślepiona strachem o dziecko, gnała za nim. Wtedy to Ryżka, kulejąc i zataczając się, również podążała do zbawczej gęstwiny.

Oczywiście nie miał czasu oglądać się za siostrą, rad, że dzięki paru szczęśliwym kluczkom, samemu udało się uniknąć racic sarny i wpaść do lasu, gdzie — siłą rzeczy, pogoń musiała ustać.

Istotnie sarna zatrzymała się przed gęstą buczyną. Zdenerwowana, z oczyma pełnemi strachu i rozpaczliwej odwagi, stała czas jakiś na miejscu, ciężko dysząc. Uspokoiwszy się nieco, obróciła się kilka razy w poszukiwaniu napastnika, wreszcie, snać przypomniała sobie opuszczone dzieci, pędem bowiem puściła się spowrotem. Zabrała trzęsące się ze strachu sarnięta i poszła ostrym kłusem przed siebie, byle dalej od przeklętego miejsca.

A Cygan nie zatrzymał się ani na chwilę w zbawczej gęstwinie. Prześliznął się przez nią, jak węgorz, wybiegł na małą łączkę, minął ją i gnał w dół w stronę potoku, wciąż się oglądając za siebie w nadziei, że siostra podąża za nim. Próżne nadzieje! Ryżka, potłuczona, kulejąc na trzech nogach, uchodziła w tej chwili w kierunku wprost przeciwnym. W głowie czuła tępy ból, na grzbiecie dokuczały głębokie rany, a co najgorsze, prawy zadni bieg wlókł się bezwładnie, jakby złamany.

W ten sposób rozeszło się rodzeństwo. Wcześniej, czy później dojśćby do tego musiało, bo lis jest włóczęgą-samotnikiem i zdobyczą dzielić się nie lubi. Przygoda zatem na Murgowym szczycie przyśpieszyła jedynie tę naturalną konieczność.

Cygan jednak przez parę dni następnych szukał siostry. Tułał się bezcelowo po lesie, a nawet raz wrócił na łąkę w nadziei, że wiatr lub tropy coś mu o siostrze powiedzą; napróżno — przepadła jak kamień w wodzie.

A potem przyszły nowe troski, silniejsze wrażenia, pamięć siostry cofała się przed niemi na plan drugi, aż po paru tygodniach rozwiała się zupełnie. Żal ustąpił przed egoizmem — zdobycz była nieraz bardzo skąpa — może więc i lepiej, że będzie niepodzielna.

Zwolna nadchodziła jesień. Pierwsze jej zwiastuny — mgły, wisiały już w wąwozach i nad łąkami, już pokoszonemi. Doskonale sobie przypomina Cygan, jak strasznie się przeląkł, przebudzony nagle ze snu nieznanym krzykiem człowieka, idącego obok strasznie turkocącego wozu. Za wozem szła kobieta z błyszczącą kosą i drewnianemi grabiami na ramieniu — pochód zaś zamykał kudłaty pies. Na ten widok zabiło serce Cygana dziwnym strachem. W jednej sekundzie tysiące myśli przemknęły mu przez głowę, a żadna nie mogła mu wytłomaczyć, czego się boi. Wiedział to tylko, że się boi i boi się tylko tego twora, jadącego wozem. Wszystkie komórki mózgowe radziły mu, krzyczały: „Uciekaj! Uciekaj! Uciekaj póki czas, póki nie za późno! To, co widzisz, to nie jest zwierzę, to coś innego, coś strasznego, nieubłaganego, to jest Pan wszystkiego, co widzisz wkoło siebie, to jest Los, to jest sam Człowiek!"

Całą siłą woli i rozumu, a może i ciekawości przemógł się i pozostał na miejscu. Chłopek z wozem dawno już przejechał, a on, jeszcze leżał cichutko i tylko nozdrza drgały mu nerwowo, i rozmyślał. Z wiekiem dochodził do świadomości, że nie jest w lesie jedynym tworem, którego inne mają się bać, że są jeszcze inne, których on sam winien starannie unikać, że w przyrodzie wygrywa ta strona, która pierwsza trafnie oceni stosunek sił i trafnie zorjentuje się w sytuacji.

Z tą zapewne myślą po jakiejś godzinie udał się Cygan na drogę, którą przejeżdżał człowiek. Najpierw długo noskiem badał powietrze, a sprawdziwszy, że jest czyste, opuścił cichutko swe ukrycie. Z wielką ciekawością przestudjował wszystkie zapachy na drodze. Przekonał się, że inaczej pachnie koń, a inaczej żelazo jego podków; inaczej człowiek, a inaczej kobieta. Wyjątkowo troskliwie badał zapach człowieka, bo nigdy jeszcze nie miał do czynienia z tak świeżym jego tropem. Zastanowiło go głównie to, że zapach ten nie jest zawsze ten sam, jak np. zapach zwierzęcia; zasadniczo jednaki, różni się jednakże domieszkami przeróżnych innych woni, to tytoniu, to żelaza, to alkoholu i Bóg wie, czego jeszcze. Nie zapomniał też o tropie psa; miał swą specyficzną, psią woń, z małą przymieszką człowieczej. (C. d. n.).



WITOŁD ZIEMBICKI

# Dwie audycje

(Dokończenie).

Prelegent mówił o św. Hubercie. Powtórzył to, co znamy z artykułów ś. p. Krogulskiego („Łowiec" 1914, nr. 3 i 1926, zeszyt jubileuszowy). Poszedł za nim zbyt wiernie, bo przyjął jego wywody wraz z błędami i wraz z tonem polemicznym. Do błędów takich należało np. powołanie się na nieistniejące dzieło, a ton polemiczny, niezupełnie zrozumiały w audycji, tłumaczył się u Krogulskiego tem, że prowadził on polemikę z Trąmpczyńskim, który kwestjonował prawa św. Huberta, a upominał się o prawa dla św. Eustachego. Wróćmy na chwilę do tego sporu. Obracał on się około osi zagadnienia, ale załatwiał go tylko częściowo. — Krogulskiemu udało się przekonać Trąmpczyńskiego, że kult św. Huberta zbyt silnie się już rozpowszechnił i utrwalił, ażeby rewindykacja praw św. Eustachego rokowała powodzenie. Słusznie. Z „faktem dokonanym" trzeba się liczyć. Ale jeśli chodzi o prawo pierwszeństwa historycznego, racja była po stronie Trąmpczyńskiego, bo prawo to posiada niezbicie św. Eustachy. Legenda z jeleniem jest bowiem legendą św. Eustachego. Powstała ona już w II stuleciu po Nar. Chr., w związku z żywotem rycerza, imieniem Placyd, który pod wpływem cudownego zjawiska, doznanego na polowaniu, nawrócił się, ochrzcił jako Eustachy, a później umęczony, przeszedł do rzędu Świętych. W ciągu wieków nastąpiło rozszczepienie legendy. W pamięci ludzkiej zaciera się i gubi imię Świętego, odrywa się od niego i idzie w świat tajemnicza i działająca na wyobraźnię opowieść o jeleniu. Ten, podlegając różnym przemianom w czasie i przestrzeni, ukazuje się, zależnie od warunków, coraz to innym osobom. Przychodzi kolej na świątobliwego biskupa Huberta. Ale kolej ta przyszła nań w 700 lat po śmierci. Od wieku VIII do XV czczono go, jak innych nawróconych i świętych, ale nikomu nie przyszło na myśl czcić w nim patrona myśliwych, nikt też nie łączył jego imienia z przygodą św. Eustachego. „Przeniesienie" tej przygody na św. Huberta przyszło do skutku dopiero w wieku XV. Jaki był tego powód? Może to, że jako „apostoł Ardenów" tępił on, obok innych zwyczajów pogańskich, kult starożytnej bogini łowów Djany, może i to, że po jego śmierci rozeszła się wieść o owym zbawiennym kluczu, leczącym wściekliznę i że mnisi, strzegący jego grobu, wsławili się jako „specjaliści" w zwalczaniu tej strasznej choroby, tak dobrze znanej zwłaszcza hodowcom psów, a więc myśliwym. Dość, że vox populi przemówił głośniej od prawdy historycznej i św. Hubertowi, który może wogóle nigdy za życia nie polował, kazano po śmierci objąć patronat myślistwa, odbierając go św. Eustachemu, niepopularnemu w ojczyźnie Huberta, do czego niewątpliwie przyczyniły się i względy natury praktycznej, a mianowicie dobór daty, dla myślistwa wygodniejszej, jak o tem wyżej wspomniałem.

Sprawa przecież nie była załatwiona definitywnie, a świątobliwszych myśliwych czekał jeszcze przykry zawód, bo z końcem XVI wieku kościół francuski kasuje przypadającą na 3 listopada datę św. Huberta, w następstwie wprowadzenia *Breviarium romanum*, które go skreśliło jako nie dość „swego" t. j. rzymskiego świętego tak, że dopiero w XVIII w. następuje restytucja tego święta myśliwych. Odtąd już nic nie przeszkodzi trjumfalnemu pochodowi kultu hubertowskiego w zachodniej zwłaszcza Europie, skąd powoli rozpowszechnił się dalej, dając organizującemu się coraz bardziej myślistwu pożądane oparcie moralne i pobudkę do pielęgnowania etyki myśliwskiej. A jakkolwiek dziś odpadł prawie zupełnie tak potężny motyw kultu św. Huberta, jak oddawanie mu się w opiekę w zapasach z groźnym dzikim zwierzem, bo rzadko już jest po temu okazja, to jednak ideowego znaczenia kultu św. Huberta wykazywać nie potrzeba.

Cudowny jeleń zawitał i do Polski. Zawitał tu już w zaraniu naszych dziejów. Ale sam tylko jeleń! O św. Hubercie mowy nie było. W XVI wieku dopiero zapoznano nas przy pomocy druku, z żywotem nawróconego myśliwca. Był nim św. Eustachy. Cudowny jeleń szukał sobie w kraju polskim rodzimych partnerów. Goni więc za nim książę węgierski, Emeryk, późniejszy święty, zięć Bolesława Chrobrego (początek wieku XI); zjawia się jeleń różnym naszym Bolesławom (zob. *Legenda łysogórska* J. Birkenmajera); ukazuje się w towarzystwie Baranka z Hostją Władysławowi Odoniczowi (w. XIII); staje przed Jakóbem Pocztą w Czernicach borowych (wiek XIV). Jedyny z tych mężów św. Emeryk, mógł nam zastąpić zupełnie obcego św. Eustachego, względnie św. Huberta. Ale tak się nie stało. Do XVIII wieku obchodziliśmy się więc bez patrona myśliwych, dalszą zaś ewolucję tej sprawy streściłem powyżej.

Tych kilka uwag pragnąłem dorzucić z okazji audycji hubertowskiej, wstrzymując się oczywiście od przytaczania materjału źródłowego, bo z uwag zrobiłoby się studjum, które odkładam do innej sposobności. Pragnąłem zarazem podkreślić, że legendę o jeleniu zamało się odróżnia od legendy o św. Hubercie, że w żywocie św. Huberta miesza się prawdę historyczną, na autentycznych, współczesnych świadectwach opartą, ze sztucznemi dodatkami, że wogóle o całej sprawie „hubertowskiej" panują dość mętne wyobrażenia, podtrzymywane przez błędne nieraz informacje prasy. Nie można się potem dziwić, że w szerokich masach społeczeństwa kult św. Huberta jest czemś obcem i zupełnie niezrozumiałem. Doświadczenie np. z ołtarzem św. Huberta, ufundowanym przez Małopolskie Tow. Łowieckie we Lwowie, wykazuje, że nabożeństwo hubertowskie, odprawiane przed tym ołtarzem rokrocznie w dniu 3 listopada, traktowane bywa przez księży jako msza żałobna za zmarłych myśliwych. Parafjanie zaś kościoła św. Elżbiety, w większości ludzie prości, nie przestają się oburzać na widok zawieszonego nad ołtarzem obrazu, na którym figurują zwierzęta! Szczególnie psom nie chcą przebaczyć. W rezultacie obraz bywa najczęściej zasłonięty. Propaganda jest tu więc potrzebna. Ale musimy sobie zdać sprawę z tego, że nie będzie ona łatwa. Należy ją dobrze obmyśleć i dobrze się do niej przygotować. Bo głos, nawołujący św. Eustachego, respective św. Huberta, do zaniechania dalszego pościgu, może być przez jednostki, niechętne myślistwu, wzięty za zakaz polowania wogóle.

— — — — — — — — — — — — — —

Drugą część audycji lwowskiej wypełniły produkcje wokalno-muzykalne, przygotowane przez p. Mieczysława

Krzyńskiego, prof. śpiewu w Korpusie Kadetów we Lwowie. Wykonawcą pieśni miał być pierwotnie chór Korpusu; jednakże wobec niedyspozycji paru członków zastąpiły go siły wokalne rozgłośni lwowskiej, t. zw. „Wesoła piątka". Z pieśni wykonano: Dobrzyńskiego „Piosnkę gajowego", Elsnera „Chór myśliwych", Silchera „Trąbkę myśliwską", Moniuszki „Łowy" i „Pieśń uwięzionego myśliwca", pieśń bezimienną „A kiedy myśliwy cały dzień poluje..." i Webera „Chór strzelców" z opery „Wolny strzelec" ze słowami Mickiewicza. Chórem dyrygował p. Z. Lipczyński, akompaniowała mu p. I. Lipczyńska, jako solista śpiewał tenor, p. K. Czajkowski. Orkiestra 40 p. p. pod batutą por. Jurkiewicza odegrała Wrońskiego „Marsza myśliwskiego" i Lewandowskiego „Mazura myśliwskiego". Artysta teatru p. M. Bielecki wygłosił z poematu Konrada Celtisa o Wiśle ustęp o polowaniu na żubry, w przekładzie polskim, dokonanym z łaciny przez W. Ziembickiego. Zaznaczyć trzeba, że instrumentacji utworów muzycznych z układu fortepianowego na orkiestrę, oraz chóralnego opracowania pieśni dokonał p. Krzyński, interesujący się żywo materjałem muzycznym i pieśniarskim z zakresu łowiectwa, jako nadającym się w wysokim stopniu do programu tego rodzaju instytucji wychowawczej, jaką jest Korpus Kadetów.

Ś. † P.

# KAZIMIERZ MARMOROSS

ziemianin, wieloletni Członek M. T. Ł., zmarł w dniu 16 stycznia 1936 r. w Karowie, w 80-tym roku życia.

...Gruby odyniec otropiony na Zabłotnej... sanie ...zaprzęgać... tak i podobnie majaczył osiemdziesięcioletni myśliwy, długą złożony niemocą, na kilkanaście godzin przed skonem!

Bo choć dusza Jego zrywała już ostatnie węzły z tym światem i kruszyła okowy doczesnego bytu, myśl pracowała jeszcze na ziemskiej niwie Św. Huberta i nie chcąc zrywać z tem, co serce tak z całego życia głęboko ukochało, wracała uporczywie do polskich borów, gór i pól.

Był on łowcem z krwi i kości, a bujna Jego pasja myśliwska z wiekiem coraz więcej jeszcze się potęgowała i przemożną była aż do chwili odejścia.

Jeszcze w roku 1934, choć już u kresu sił, był na rykowisku w Karpatach, a zeszłej zimy, na wiadomość o otropieniu dzików, kazał się zawieść do lasu, następnie zanieść na stanowisko, z którego podtrzymywany przez gajowego, zrobił misterny do nich dublet.

Doskonały i dobrze rządzący na swych kilku tysiącach morgów Karowa włodarz, podporządkowywał jednak gospodarcze sprawy łowiectwu. Nie wolno było na mokrej łące przekopać rowu, boby kszyków i kaczek dzikich nie stało, nie wolno było wyrąbać lub oczyścić kawałka lasu, bo dziki wyniosłyby się z kniei.

Atmosfera rykowiskowa panowała w Karowie już w połowie sierpnia. Kazio już się pakował, przemyśliwał każdy szczegół przyszłej wyprawy w Karpaty — i wtedy tam o niczem innem się nie mówiło i nie myślało.

A mimo, że gorączka myśliwska panowała wszechwładnie nad Jego jestestwem, był On jednak najlepszym mężem, ojcem i obywatelem, bo umiał zawsze godzić swe obowiązki nałożone Mu przez Boga i ojczyznę ze służbą pod Zielonym Sztandarem.

Jedno tylko można Mu było zarzucić, to wstręt do pióra. Jakaż to szkoda dla nas i dla potomnych, a przedewszystkiem dla historji łowiectwa polskiego, że bardzo bogatych swych przeżyć wśród 60-letniej praktyki myśliwskiej nie utrwalił na papierze — byłyby całe tomy tych pamiętników! — Wszak był to myśliwy, co w Małopolsce, a może i w Polsce, najwięcej ubił dzików, gdyż około 800.

Nieraz słuchaliśmy Jego ciekawych wspomnień z borów małopolskich, wspomnień z dalekiej przeszłości, kiedy niedźwiedź karpacki jeszcze dość często rozścielał swe kudły myśliwym pod nogi, kiedy wilki płaciły ze swych futer obfity im haracz.

Ubył nam wielki myśliwy, znakomity strzelec, ukochany towarzysz, najwierniejszy przyjaciel — zawsze wesół, uśmiechnięty — bo był to człowiek przezacny — a „szczęśliwy jak dziecko", gdy czuł ciężar broni na swem ramieniu!

Z wielkim żalem i boleścią w sercach, odprowadziliśmy ukochanego Towarzysza i Kolegę naszego, na miejsce wiecznego odpoczywania.

Żegnaj nam wierny Druhu, niech ziemia lekką Ci będzie, pokój Twej zacnej duszy!

*Albert Mniszek.*

## Korespondencje

**Upraszamy pp. Delegatów i Członków naszych o ścisle rzeczowe i zwięzłe sprawozdania z polowań i stanu zwierzyny w bieżącym sezonie. Red.**

W dniu 23 listopada b. r. odbyło się polowanie w dobrach Głęboka-Munina hr. Zofji Tyszkiewiczowej i hr. Elżbiety Siemieńskiej. Padło w 6 strzelb 69 zajęcy, 19 bażantów i 4 kuropatwy.

Miło było przy tej sposobności stwierdzić bardzo piękny stan bażantów dziko chowanych w łozach nad Sanem. Przy lepszem strzelaniu mogła była ich paść podwójna ilość. Należałoby tylko odstrzelić jeszcze pewną ilość kogutów, których jest obecnie stanowczo za dużo w stosunku do kur. Przy racjonalnem prowadzeniu tej hodowli, tępieniu szkodników i dokarmianiu w zimie, można będzie z czasem jeszcze piękniejsze rezultaty uzyskać.

W dniu 17 grudnia odbyło się polowanie w dobrach Hawłowice Dolne p. Romana Wolskiego. Padło w trzech kotłach polnych i w trzech miocikach pędzonych przez łozy 119 zajęcy, 1 lis, 2 bażanty. Strzelb 9.

Stan zajęcy bardzo dobry, tak samo kuropatw, które masami z łóz się zrywały. Niedopisały natomiast bażanty, które prawdopodobnie wskutek silnego opadu śnieżnego w dniu polowania z miotów się wyniosły.

Franciszek Mycielski, delegat.

Łany Sieleckie, 4 stycznia 1936.

Dnia 2 i 3 stycznia b. r. polowaliśmy w Batiatyczach, powiat Kamionecki, u Antoniego Papary. — Brodząc we wodzie i topiąc się w błocie, ubito w 12 dużych kotłach 205 zajęcy i 1 koguta cietrzewia w 8 i 7 strzelb. — Najwięcej miał na rozkładzie Jan Madeyski — 38 zajęcy, drugi Adam bar. Konopka — 36 zajęcy i cietrzewia. — Polowanie wzorowo prowadził gospodarz. Stan zwierzyny o 30% gorszy niż ubiegłego sezonu. K. G.

Dyament koło Tarnowa w grudniu 1935.

W dniach 14, 15 i 16 listopada b. r. odbyło się polowanie na 7 stanowisk w głębokiej kniei lasów Rudnickich Hieronima hr. Tarnowskiego. — Pierwszego dnia opolowano rewir Tarnowską Górę, drugiego Rudnik, a trzeciego rewir Groble. Tylko dzięki znakomitej organizacji, głębokiej znajomości sztuki łowieckiej i mistrzowskiemu prowadzeniu polowania, można było opolować tak znaczny teren w trzech dniach i na czarnej stopie osiągnąć tak wspaniały rezultat.

W pierwszym dniu polowania nie braliśmy zupełnie sztucerów do kniei, bo dziki nie były spodziewane, a rewir Tarnowska Góra złożył tylko haracz w postaci kilkunastu lisów i zajęcy.

Jedynie w ostatnim miocie usłyszałem, wrażony w mózg jak cudowna melodja, pojedyńczy chód dużego dzika, który w mroku zapadającego wieczoru, niby jakaś ogromna, czarna masa, przesuwał się przez ciemny już bór, znacząc swą drogę cieniem i trzaskiem. — Drugi i trzeci dzień polowania t. j. rewiry Rudnik i Groble dały za to częste z dzikami spotkania, które jednakowoż przebijały się najczęściej przez nagonkę, lub wychodziły flanką, z powodu niepomyślnego wiatru.

Widzianych było ogółem 33 dzików.

Rezultat ogólny polowania: 4 dziki, 16 lisów, 1 łania, 3 kozy, 55 zajęcy, 1 słonka i 3 kuropatwy.

Do łań i kóz strzelano wyłącznie kulami, na prośbę Gospodarza, który spowodu nadmiernej ich ilości, otrzymał, ze względów hodowlanych, pozwolenie odstrzału 50 łań i 20 kóz.

Pogoda dopisała cudownie i rezultat polowania mógłby być znacznie lepszy, ale ułaskawiono wspaniałomyślnie 3 dziki i 9 lisów, a 4 dziki i 2 lisy, przepuszczono bez strzału. Słonki widziano prawie w każdym miocie i tylko dzięki temu, że myśliwi — w nadziei spotkania z dzikami — stali przeważnie ze sztucerami w ręku, uszły nie strzelane.

Tradycyjnym w Rudniku zwyczajem otrąbiono codziennie po ostatnim miocie pokot ubitej zwierzyny.

Cudny to był widok, gdy przy blasku płonących ognisk leżały pokotem rozmaite co do wielkości, czarne i brunatno-rude dziki, żółte i bardziej srebrnawe lisy, jakby skupione w śmiertelnem rozmyślaniu o przebiegu swego złodziejskiego życia, — a dalej zające prężące w długi szereg sztywne swe skoki i słuchy.

Wśród ciszy uroczego wieczoru, rozlegały się rzewne tony trąbki, a następnie p. Inżynier Ryszard Bachman zdawał krótki raport — niby protokół z wymienieniem ostatecznej liczby ubitej zwierzyny.

Feliks Jordan Stojowski
delegat P. Zw. St. Łow.

# Z naszych Towarzystw

**Z ODDZIAŁU MAŁ. TOWARZYSTWA ŁOW. W KRAKOWIE.**

**Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału dnia 6 grudnia 1935 r.**

Po przyjęciu protokołu z poprzedniego posiedzenia, wydano dla Województwa żądane opinje w kilku sprawach łowieckich.

Poruszaną przez jednego z pp. delegatów sprawę niszczenia konfiskowanej kłusownikom broni, postanowiono usilnie poprzeć przez wystosowanie ze strony Wydziału memorjału do Województw z prośbą o zarządzenie niszczenia takiej broni, zaś odpis tego memorjału zlecono przesłać Pol. Związkowi Stow. Łow.

W celu stosowania ostrzejszych kar za kłusownictwo i wnykarstwo, uchwalono interwenjować przez osobną delegację w Prezydjum Sądu Apelacyjnego w Krakowie.

Uchwalono zaprosić na następne posiedzenia Wydziału, w miejsce ustępujących, także niektórych nowych uczestników obrad.

Zakomunikowano Wydziałowi bardzo słaby, jak dotąd, oddźwięk na wrześniową odezwę Oddziału do wszystkich delegatów Województwa krak. o zorganizowanie delegatur okręgowych w powiatach, pomoc w jednaniu Towarzystwu nowych członków i ściąganiu zaległych wkładek członkowskich.

P. wiceprezes dr. Adam Lardemer omówił i wyjaśnił ważniejsze postanowienia projektu nowelizacji statutu Pol. Związku, zwłaszcza z zakresu na nowych podstawach opartej organizacji Związku.

Zlecono podać z Oddziału do Polskiego Związku Stow. Łow. za pośrednictwem Centrali M. T. Ł. wnioski na nowe odznaczenia łowieckie dla kilku niższych funkcjonarjuszów Pol. Państw.

Uchwalono, ażeby posiedzenia Wydziału odbywały się raz na dwa miesiące.

Przybyli nowi członkowie: Edward Bogusz, Ksawery Bogusz, dr. Tadeusz Dziurzyński i Michał Wężyk.

Mianowani delegatami: dr. Zygmunt Drobniewicz i Otton bar. Klobus na powiat Biała. — Złożył mandat w pow. chrzanowskim z powodu przesiedlenia inż. Ludwik Wacławik.

Przy sposobności przypominamy pp. Delegatom i Członkom naszą odezwę w „Łowcu” z dnia 1 września ub. r. w sprawie nadsyłania nam w celach statystycznych i orjentacyjnych, sprawozdań z odbytych polowań i stanu zwierzyny w sezonie 1935/36.

Wkońcu przypominamy zalegającym z opłatą członkom wyrównanie wkładek czekami P. K. O. Nr. konta 405.265 (a nie 145.839).

Za Wydział Oddziału Małop. Tow. Łow. w Krakowie
Stanisław Morawetz, sekretarz — Adam Starzeński, prezes

# Kącik kynologiczny

Przypominamy, że „Dzień psa” zamierzamy urządzić w niedzielę dnia 21 czerwca b. r. Do programu „Dnia psa” wchodzić będzie przed południem ocena okazów przez fachowych sędziów, premiowanie okazów, wpis do ksiąg rodowodowych a po południu pokaz psów przed publicznością. Wpisowe na „Dzień psa” wynosi dla członków 2 zł. a 10 zł. dla nieczłonków Oddziału. Druki na zgłoszenia zamawiać już można w redakcji „Łowca”.

Pozostałe jeszcze egzemplarze „Psa” w cenie po 3 zł. są tamże do nabycia. Drugi zeszyt tego wydawnictwa wyjdzie niebawem. Kto pragnie zamieścić fotografje swych psów oraz fragmenty ich hodowli, winien nadesłać fotografje oraz przesłać przez P. K. O. 10.398 na konto Polskiego Związku Hodowców Psów Rasowych, na wykonanie kliszy kwotę 10 zł.

Zarząd Oddziału.

**TREŚĆ NUMERU 2:**



**Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6·— zł.**

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. — Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., ½ str. 70 zł. ¼ str. 36 zł., ⅛ str. 20 zł., 1/16 str. 12 zł. — Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Zarząd Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego dla wpłat członkowskich: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5, drzwi Nr. 44. Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej. — Redakcja nie zwraca rękopisów już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty. — Adres telegramów: „Łowiec”, Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 218-59. — Administracja: Księgarnia Gubrynowicz i Syn, właść. A. Krawczyński, Lwów, plac Katedralny 9, tel. 228-81. Oddział w Krakowie ul. Kremerowska 12, P. K. O. 405.265.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. — Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Tel. Nr. 119-50.